ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

ROK X. | Nr 15 (459)

NIEDZIELA, 8 KWIETNIA 1956 R.

TO, CZEGO NIE ZANOTUJE

RADIOSTACJA „KRAJ"

Od wielu miesięcy prasa komunistyczna w Kraju bacznie śledzi artykuły pism emigracyjnych. Radiostacja „Kraj" prowadzi niemal codzienny przegląd prasy emigracyjnej, z którego celniejsze fragmenty umieszcza później w swoim biuletynie, szeroko rozsyłanym do członków polskiej emigracji. Inwigilatorzy życia polskiego uchodźstwa szeroko korzystają z zasady wolności opinii, jaką stosuje prasa emigracyjna. Ta prasa nie istnieje po to, aby głosić zuniformizowane poglądy jakiejś jednej grupy, czy jednej doktryny, ale wyraża poglądy swoje z pełną swobodą i nieskrępowaniem. Ten typ prasy, prasy wolnej i dążącej do polepszenia spraw z reguły pisze o usterkach, nie waha się wytykać błędów, demaskować potknięć i wykroczeń, gdyż wie, że to jest jedyna droga do umacniania życia zbiorowego. Z tej oczywistej siły, skwapliwie korzystają publicyści prasy i radia ustroju totalitarnego, w którym wolno pisać tylko o tym, co zostało z góry dozwolone. Szeroką ręką czerpią więc cytaty pism emigracyjnych i zestawiają je obok siebie, lepiąc fałszywie przed czytelnikiem i słuchaczem krajowym obraz emigracji w tonacji czarnego koszmaru.

Ale prasa nieskrępowana pisze również szeroko o zjawiskach dodatnich, o osiągnięciach, symptomach zdrowia i prężności. Tych rzeczy, oczywiście, przeglądy „Kraju" nie podają, zgodnie z zasadami „moralności socjalistycznej". A przecież w społeczeństwie emigracyjnym, obok zjawisk ujemnych, dzieją się rzeczy piękne i wspaniałe, niekiedy zdumiewające znamionami dyscypliny, jedności i trafności wyboru tej części narodu, która zdecydowała się dla względów ogólnych zostać na uchodźstwie.

Pragnę tu napisać o jednym z takich zjawisk, które w ostatnich miesiącach bardzo wyraźnie wystąpiły. Chodzi o sprawę, która łączy się z utrzymaniem wiary i narodowości wśród najmłodszego pokolenia emigracyjnego. Emigracja polityczna ma swoje wielkie zadanie narodowe, ale następstwem ubocznym pozostawania na emigracji jest niebezpieczeństwo wynaradawiania się dzieci emigrantów, żyjących w obcych społeczeństwach. Być emigrantem politycznym w pełnym tego słowa znaczeniu, to nie tylko walczyć o wolność swego Kraju, ale równocześnie dbać o każdą drobinę życia polskiego, uchować ją i doprowadzić po wyzwoleniu do Kraju.

Szkoły i szkółki sobotnie rosły i rosną coraz szerzej wysiłkiem społecznym całego uchodźstwa. Można powiedzieć, iż sieć punktów nauczania przedmiotów ojczystych została już ustalona i obecnie należy jedynie dbać o to, aby się rozszerzała i wypełniała coraz pełniejszą treścią. Gdy jednak zaczęły w latach ubiegłych owe szkoły i punkty nauczania rozwijać się, wystąpił dojmujący problem podręczników szkolnych. Im więcej szkół, tym większy głód podręczników i pomocy szkolnych. Nie pomyślano o tym zawczasu, więc potrzeba zjawiła się nagle w całej swej ostrości. Gdy przed rokiem okazało się, iż w powstałej sytuacji najważniejsza jest sprawa podręczników, reżym komunistyczny z Polski, przez upaństwowione księgarnie, przez ich reprezentantów w terenie uchodźczym i przez osławione Towarzystwo Łączności z Uchodźstwem „Polonia" zaofiarował wspaniałomyślnie podręczniki krajowe. Emigracja wielkoduszność reżymu skwitowała milczeniem. Tych podręczników dzieci uchodźców używać nie mogą. Jak je bowiem uczyć geografii z podręcznika, który obciął i ukradł pół Polski? Albo historii, opartej na marksistowskiej interpretacji dziejów ojczystych?

Gdy się więc już problem podręczników zjawił, zjawił się od razu w dużej skali. W sumie potrzeba w ciągu paru lat około trzydziestu podręczników na różne stopnie nauczania, nie licząc licznych pomocy szkolnych w postaci map, gier, tablic poglądowych, śpiewników, czytanek i tomików z bajkami dla najmłodszych. Od razu wyrosły przy tym dwa wielkie problemy: problem tekstów i problem pieniędzy. I tu zbliżamy się do owego zjawiska, które pragnę opisać.

Znaczna część pracy nad wydawaniem podręczników i pomocy szkolnych wziął na siebie Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas", zabiegając o współdziałanie instytucji oświatowych; kilka początkowych pozycji wydano przy współdziałaniu z Polską Macierzą Szkolną Zagraniczną. W porozumieniu z Władzami Kościelnymi utworzony został „Katolicki Fundusz Podręczników i Czytanek", którego zadaniem jest zbieranie raz do roku, na początku każdego roku szkolnego pieniędzy, które by dodane do funduszów Ośrodka Wydawniczego oraz ewentualnych innych funduszów oświatowych utworzyły dostateczny kapitał na szybkie wydanie większości potrzebnych podręczników i pomocy.

Na początku bieżącego roku szkolnego, we wrześniu 1955, po raz pierwszy zwrócono się o zbiórkę na Fundusz. Jak wynika z samego charakteru tego Funduszu, przeprowadzeniem zbiórki w terenie zajęli się Księża Proboszczowie wraz ze swymi świeckimi współpracownikami. Odzew był wspaniały i natychmiastowy. Polskie życie emigracyjne jest przeciążone różnego rodzaju kwestami, a jednak ta miała pozycję wyjątkową i wyjątkową została otoczona troskliwością. W ciągu jednego tygodnia zebrano tak znaczną sumę, iż pomoże ona do wydania już w roku bieżącym najpilniejszych podręczników.

Zanim je wymienię, chcę uczynić jedną uwagę ogólną. Czytamy często w prasie reżymowej o nieproduktywności społecznej instytucji religijnych. Nowa fala „naukowej" propagandy antyreligijnej, która właśnie w chwili bieżącej na całym terenie komunistycznego panowania się rozwija, to właśnie przede wszystkim podkreśla — rzekomą jałowość i niewydolność organizacji religijnych. Cóż za nonsens! Pomijamy w tej chwili polemikę z tym twierdzeniem w aspekcie samego Kraju, gdzie wobec kompromitującego bankructwa „moralności socjalistycznej" zasady stosunków międzyludzkich ratuje właśnie poniewierana i prześladowana moralność katolicka. Ale wystarczy spojrzeć na teren emigracji: cóż jest najsilniejszym zwornikiem społeczeństwa emigracyjnego jeśli nie parafia katolicka, kto wiąże najsilniej społeczeństwo jeśli nie polski ksiądz. A gdy przychodzi nagła potrzeba społeczna, jak ta z podręcznikami, ten ksiądz, „wstecznik", „nieproduktywnik" i „średniowiecznik", jak to określa propaganda komunistyczna, zakasuje rękawy i bierze się do pracy. Instytucje społeczne, ciała zbiorowe — uzgadniają, dyskutują, przymierzają, decydują, głosują i odsyłają do podkomisji — on, razem ze swymi zespołami cichych pracowników parafialnych działa.

W najbliższym czasie każdy Duszpasterz polski na terenie tutejszym otrzyma sprawozdanie z wyniku pracy na rzecz akcji podręczników i czytanek w ubiegłym wrześniu z dokładnym wyliczeniem sum, jakie jego parafia zebrała. Zanim ten oficjalny dokument dojdzie jego rąk, chcemy już dziś gorąco podziękować za trud, gotowość pomocy i szybkość działania całemu polskiemu Duchowieństwu w W. Brytanii, oraz wiernym polskich parafii. Chcemy również prosić, aby i w roku bieżącym dali oni sprawie podręcznikowej tę samą pomoc, rezerwując sobie na zbiórkę Katolickiego Funduszu Podręczników i Czytanek pierwszy tydzień nowego roku szkolnego, od niedzieli 2 do niedzieli 9 września włącznie.

Dzięki zbiórce zeszłorocznej, która przyniosła 750 funtów, oraz przy wyznaczeniu przez Najwyższe Polskie Władze Duchowne pewnych dodatkowych funduszy — w roku bieżącym ukaże się kilka najpilniejszych podręczników. Zaczynamy od najważniejszych: k a t e c h i z m u i e l e m e n t a r z a. Prace nad obszernym, bogato ilustrowanym, a przede wszystkim na nowoczesnych metodach opartym katechizmem są już bardzo daleko zaawansowane. Pierwsza część tego trzytomikowego katechizmu ukaże się najprawdopodobniej już na początek roku szkolnego, albo krótko po jego rozpoczęciu. Prace nad barwnym, nowoczesnym, emigracyjnym elementarzem zostały już rozpoczęte. Ukaże się on w czterech zeszytach i podprowadzi dziecko polskie do stopnia, kiedy będzie mogło już samodzielnie czytać łatwiejsze teksty. Należy życzyć sobie, aby na ten czas wyszła wreszcie tzw. czytanka poelementarzowa, która znajduje się w opracowaniu instytucji społecznych od lat z górą sześciu.

Wyjdą ponadto w tym roku: śpiewnik dla przedszkoli ze wskazówkami inscenizacyjnymi, bogato ilustrowana czytanka geograficzna, konturowa mapa Polski, gra geograficzna w kolorach, cztery czytanki dla młodszych dzieci i sześć tomików opowiadań dla dzieci starszych. Poza tym znajdują się w opracowaniu dalsze podręczniki.

Wszystko to nie z gotowych funduszy, ale ze zbiorowego wysiłku polskiego społeczeństwa katolickiego na emigracji. Można pójść o zakład, że w przeglądach prasy „Kraju" o tej stronie emigracyjnego życia nie będzie ani słowa. Bo przecież ten „Kraj" nie jest publicystyką w prawdziwym tego słowa znaczeniu, to jest tylko ślepe narzędzie polityki, polityki nienawiści i kłamstwa.

J. K.

JÓZEF A. TESLAR

NAUKOWA WARTOŚĆ MARKSIZMU

Teoretycy i szerzyciele komunizmu stale twierdzą, że marksizm jest teorią naukową, co więcej, że ze wszystkich teoryj socjalnych jest jedynym prawdziwie naukowym systemem. Czy tak jest istotnie?

Karol Marks, potomek rodziny rabinackiej, po której odziedziczył pasję do dialektyki, urodził się w r. 1818 w Trewirze. Choć rodzice jego przyjęli chrześcijaństwo, był on wrogiem wszelkiej religii i spirytualizmu. Zrazu nauczyciel, potem dziennikarz, wziął udział w rewolucji roku 1848 we Francji i w Niemczech i ogłosił słynny „Manifest komunistyczny". Wydalony z Francji, po krótkim pobycie w Brukseli, osiadł w r. 1849 w Londynie, gdzie zmarł w roku 1883. Zainteresowany żywo życiem społecznym Anglii, pogardzał Europą Wschodnią, a szczególnie Słowianami. Był założycielem „Międzynarodówki Robotniczej" (w Genewie w 1866 r.). W roku 1867 ogłosił swe główne dzieło „Kapitał", które stało się „ewangelią" komunizmu.

Przystępując do omówienia wartości naukowej jego systemu, wypada najpierw przypomnieć, że Marks oparł swój „Kapitał" na formalnych przesłankach rozumowania współczesnego filozofa Hegla. Wiadomo, że tym dialektycznym wywodom Hegla krytyka naukowa od dawna odmówiła wartości naukowej. Dlaczego? Dlatego, że dialektyka nie jest żadnym systemem naukowym, ale po prostu sztuką argumentowania i przekonywania. I sofistyka, która potrafi z, białego zrobić czarne, a następnie z czarnego znowu białe, posługuje się właśnie metodą dialektyczną.

Mimo to w gigantycznej lawinie druków propagujących komunizm we wszystkich językach, w nieskończoność wałkuje się dziś i wychwala „metodę dialektyczną". Po gruntownej analizie tej metody uczony amerykański, historyk teoryj politycznych, prof. G. H. Sabine (History of Political Theory — American Political Science Series) stwierdza, że „jakkolwiek dialektyczny materializm utrzymuje, iż dialektyka w każdej formie jest metodą prawdziwie naukową i że niewzruszone prawo rozwoju historycznego jest prawdą nie ulegającą kwestii, dzisiejszy stan wiedzy i logiki odpowiada na te twierdzenia — negatywnie". Do tego samego wniosku doszedł najwybitniejszy współczesny filozof angielski, twórca logiki matematycznej, Bertrand Russell (History of Western Philosophy). Inny historyk ustrojów rządu ludzkości J. A. Spender (The Government of Mankind) porównuje niekończące się na ten temat komentarze do „scholastycznych dociekań nad kwestią: ilu aniołów zmieści się na końcu szpilki".

Marks zbudował swą teorię na zbyt wąskiej platformie przyrodniczo - ekonomicznej, odrzucając wszystkie „nadwartości". Uznał on tylko jedną wartość: pracę. Zapomniał przy tym, że praca bez idei, bez pomysłu, inwencji, bez zmysłu organizacji, w ogóle nie da się uruchomić. Odrzucając w swej „nadbudowie" te nieuznawane przezeń naddatki, uważał, że skoro „kapitał" świata burżuazyjnego zagarnia owoce „pracy", które wszystkie jedynie i w całości, według niego, należą się „pracy", zatem jest rzeczą konieczną ten świat kapitalistyczny — w imię interesu świata pracy — zniszczyć. Sprowadzając wszelką pracę ludzką do typu prac, wykonywanych przez proletariat, uczynił Marks ten proletariat właściwym dziedzicem i jedynie prawnym spożywcą owoców wszelkiej pracy. Pchnął go więc do walki z wszelkimi innymi klasami społeczeństwa, nazywając je w czambuł burżuazją, wyzyskiwaczami, żyjącymi z krwi i potu klasy robotniczej. W konsekwencji zapowiadając zwycięstwo klasy robotniczej, łączył z nim postulat równości wszystkich i równości posiadania w kolektywizmie. Ale, aby ten postulat przeprowadzić, podkreślał konieczność zaprowadzenia tyrańskich rządów dyktatury ludu, a co za tym poszło, dyktatury Partii.

Abstrakcyjne formy rozumowania Hegla przystosował do swych poglądów racjonalistycznych, usuwając jednakże Heglowskie pojęcie ducha i zastępując je pojęciem materii. Wstawił w te „dialektyczne" formy swego systemu, nazwanego „materializmem historycznym", szereg faktów dostarczonych mu przez Engelsa, a zebranych sumiennie przez angielską Komisję Królewską, badającą stosunki w świecie robotniczym. Fakty te ilustrowały fatalne położenie robotników angielskich w Manchester. Były one prawdziwe i istotnie oburzające, gdyż stwierdzały nieludzki wyzysk robotników przez przemysłowców angielskich.

Jest to niezaprzeczoną zasługą Karola Marksa, że dzięki swej energii i pasji poruszył sumienie społeczeństw wielu krajów, że wywołał potężny ruch społeczno-polityczny zwany socjalizmem, ale są to zjawiska należące już do historii. Gdy dziś natomiast komuniści wciąż przysięgają na teksty Marksa, jako na niewzruszone prawdy i jako na niezmienny kodeks socjalny, narzuca się pytanie: czyżby w układzie stosunków między przemysłem a światem robotniczym od owych wypadków z Manchesteru z pierwszej połowy ubiegłego wieku nic się nie zmieniło?

Jak wiadomo, Hegel w swej dialektyce operował zupełnie arbitralnie znanymi trójkami: tezą, antytezą i syntezą. Marks, naśladując go, zestawił trzy środowiska społeczne: ziemian, przemysłowców i robotników. Ziemian z grubsza i nieściśle opatrzył etykietką „feudalizmu"; przemysłowców określił jako „kapitał", również nieściśle, gdyż kapitał istnieje i poza przemysłem; i jeszcze raz nieściśle, niby w syntezie naprzeciw tych dwu wysunął wrogo do nich usposobiony, uciśniony przez nich świat pracy, świat robotniczy. Dziś światy te i pojęcia zupełnie inaczej są wzajem do siebie ustosunkowane niż przed stu laty.

Kogóż, kto zna feudalny ustrój państwa w średniowieczu nie uderzy nieścisłość nazywania „feudałami" dzisiejszych posiadaczy ziemi i w ogóle ludzi majętnych, nawet zamożnych chłopów, którzy nikomu żadnej przysięgi feudalnej nie składali. Jest to więc historyczna nieścisłość.

Marks popełnił także wiele innych błędów. W swych przepowiedniach i apodyktycznych twierdzeniach zapowiadał rzekomo nieuchronne katastrofalne konsekwencje opisanego przezeń stanu rzeczy, ale jego proroctwa zupełnie się nie sprawdziły.

Przepowiadał on, że przerost uprzemysłowienia musi doprowadzić do rewolucji socjalnej, rewolucja zaś do zniszczenia kapitalizmu. Tymczasem rewolucja z roku 1917 wybuchła bynajmniej nie na skutek przerostu uprzemysłowienia Rosji. Przemysł rosyjski pozostawał bowiem daleko w tyle za przemysłem wielu państw Europy, nie mówiąc już o Ameryce. Nie mogła też ówczesna rewolucja uderzać w kapitalizm rosyjski, wobec ruiny finansowej Rosji przy końcu wojny. Wiadomo natomiast, że rewolucję do Rosji przyniosła z zewnątrz garstka fanatyków, zawodowych rewolucjonistów z Leninem na czele. Udało im się wywołać ją wśród klęski i chaosu wojennego, wymordować rodzinę carską, wyższych urzędników i dowódców rozpadającej się armii, co umożliwiło „Partii komunistycznej" pochwycenie władzy w swoje ręce. Uzyskała ona posłuch z łatwością wśród zdezorientowanych i rozzuchwalonych mas chłopskich, porywając je za sobą obietnicą podziału ziemi. Ten rezultat okazał się zupełnie niezależny od pewników Marksa i niezgodny z jego przepowiednią.

Marks przepowiadał dalej, że tyrania dyktatorów, których komunizm z konieczności w swym ustroju nad opanowaną przez Partię ludnością ustanawia, że ta tyrania po zwycięstwie komunizmu zniknie, bo dyktatorowie — dobrowolnie zejdą ze swych krwawych tronów. Setki faktów z historii, tak rosyjskiej jak i powszechnej, temu zapewnieniu przeczy, gdyż stale koniec jednej tyranii staje się początkiem drugiej, która sięga po władzę wydartą z rąk tyranii poprzedniej.

Ostatecznie wszystkie przepowiednie Marksa okazały się w świetle faktów — omyłką. Marks, patrząc na stosunki, których był świadkiem, uległ wrażeniu i postawił to jako pewnik, że wzrost bogactwa jednej klasy społecznej pociągnie za sobą nieuchronne zubożenie innej klasy. Okazuje się dziś, że staje się rzecz zgoła odwrotna. Bogactwo bowiem nie jest dziś wcale skoncentrowane w coraz mniej licznych rękach kapitalistów, jak to Marks zapowiadał jako pewnik, przeciwnie, bogactwo rozkłada się dziś na coraz to szersze rzesze społeczne, wskutek czego jest też coraz mniej ubogich.

Nie jest też wcale prawdą twierdzenie Marksa, że kapitalizm jest tylko systemem zaprowadzonym i podtrzymywanym przez burżuazyjnych teoretyków, że jest on formą przejściową, po której musi przyjść kolektywizm. Marks zwalczał kapitalizm jako tyranię społeczną, jako zjawisko potworne, które trzeba koniecznie zniszczyć. Tymczasem kapitalizm jest zjawiskiem powszechnym i naturalnym, wynikającym niezależnie w różnych krajach z konieczności rozdziału i wymiany wytworów przemysłu i przedmiotów handlu, a formy jego ulegają ciągłym fluktuacjom i zmianom, jak o tym świadczy historia ekonomii. Kapitalizm może też i musi ulegać krytyce, dla dobra zainteresowanych; przeciwnie, materializm historyczny krytyki nie znosi i nie uznaje. Kapitalizm nie koniecznie musi być skazany na zagładę, jak to Marks prorokował; przeciwnie, dochodząc sprawiedliwie i rozumnie do porozumienia ze światem pracy, może harmonijnie z nim funkcjonować ku obopólnemu pożytkowi tak pracodawcy jak pracobiorcy.

Tak się właśnie dzieje w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, których doświadczenia na tym polu co krok zadają kłam rzekomo nieomylnym apokaliptycznym przepowiedniom Marksa i jego następców na temat koniecznej zagłady kapitału. To samo jest we Francji. W jednej z największych fabryk samochodów, w zakładach Renault w Billancourt pod Paryżem, wprowadzono już podział zysków między kapitał i pracę, tj. między pracodawców a robotników. Odtąd zarobki robotników będą się zwiększać w miarę powiększania się produkcji, a robotnik, który za czasów Marksa był ofiarą wyzysku, dziś staje się niejako współwłaścicielem fabryki, w której pracuje. Czyż więc będzie nadal na rozkaz zaślepionych nienawiścią komunistów dążył do zagłady kapitału, w którym ma udział i który go żywi? Jak podaje prasa francuska, przykład zakładów Renault znalazł już naśladowców w innych zakładach.

Nic dziwnego, że komuniści rosyjscy zamknęli od Zachodu żelazną kurtyną własnych robotników i robotników krajów podbitych, poddanych dyktaturze „partii", aby nie mogli porównywać własnego życia z życiem wolnych robotników na Zachodzie z ich wolnościami i ich dobrobytem. I dalej powtarzają im nonsensy o rzekomej nędzy panującej na „zgniłym Zachodzie".

Podkreślmy wreszcie ważny i uderzający fakt, że przemiany ekonomiczne, zachodzące w świecie pracy i kapitału w Stanach Zjednoczonych A. P. i po części w Europie, przychodzą bez rozlewu krwi. Tymczasem w Sowietach rewolucja nie tylko nie sprowadziła dobrobytu robotników, ale spowodowała tak potworny rozlew krwi przez tych 38 lat panowania „ zwycięskiej rewolucji", jakiego przez całe wieki dziejów nie spowodowały np. razem wzięte wojny religijne!

Komuniści twierdzą, że to są ofiary konieczne dla osiągnięcia „raju" przyszłości. Ale któż nie widzi, że komuniści, idąc śladem nauk Marksa, umieją jedynie niszczyć. Jak to jeden z teoretyków komunizmu sam nieostrożnie zauważył, „Marks nie nakreślił planu odbudowy". Toteż komunizm poza pustymi i różowo-słodkimi ogólnikami nie uczy jak na miejsce powszechnej ruiny świata, którą sprowadzić zamierza, ma się zbudować to nowe i doskonałe życie. Stąd nie podobna pojąć, na czym mają polegać rzekome dobrodziejstwa, które komunizm w jakiejś odległej przyszłości obiecuje przynieść umęczonej jego tyranią ludzkości.

Tymczasem fanatyzm apostołów marksizmu głosi dalej bezpodstawnie, że jedynie Marks znalazł trafne rozwiązanie problemu wszystkich krzywd społecznych. Jest to oczywistą nieprawdą wobec niekomunistycznych, nowoczesnych, i istotnie racjonalnych teoryj ekonomicznych. Wprowadzają one dziś w życie sprawiedliwe podziały i rozliczenia, jakich pracodawcy i pracobiorcy dokonują w zgodzie, w spokoju, we wzajemnym poszanowaniu, i obopólnym rozumieniu wspólnych i nierozłącznych tak usług jak zysków. Nie trudno odkryć sekret, dlaczego komuniści rosyjscy zwalczają te nowe metody zachodnie umożliwiające współżycie między kapitałem a pracą, a więc między przemysłem a robotnikiem. To jasne, że wprowadzenie w życie tych pokojowych stosunków między tymi dwoma światami, które według Marksa muszą się nienawidzieć, wyrywa komunistom z rąk władzę nad robotnikami i wykazuje przewrotność i szkodliwość ich teoryj dialektyczno - materialistyczno - historycznych, a nie tylko ich — zbyteczność.

Trzebaż dowodów na to, że komunizm równocześnie odmawia jednostce prawa do wolnej woli i do wolności w ogóle? Nie wierzą temu tylko ci, którzy nie wiedzą, i nie chcą wiedzieć, co się dzieje w Rosji i w krajach satelickich. Gdy w krajach demokratycznych robotnicy wywalczyli sobie prawo do strajków i mają je konstytucją zagwarantowane, komuniści najsurowiej zabronili u siebie i w krajach satelickich wszelkich strajków. Ale za to stale wywołują strajki i sabotaże przez podległe im partie komunistyczne na Zachodzie. Nie czynią tego oczywiście w interesie klasy robotniczej, bo ona na tym cierpi na równi z całym społeczeństwem, lecz ze względów „taktycznych" w walce z kulturą i ekonomią Zachodu, jako środek zniszczenia ich i przygotowania i w tej części świata panowania komunistycznego. W krajach zachodnich menerzy komunistyczni w obałamuconego propagandą robotnika wmawiają nadal konieczność walki z „kapitałem", bo bez tej walki komunizm i „partia" tracą rację bytu na Zachodzie.

Taktyka ta, uderzająca równocześnie w żywotne interesy robotnika otwiera zwolna oczy rozumniejszym elementom wśród warstwy robotniczej na Zachodzie. Oto, dlaczego socjologowie na Zachodzie doszli do przekonania, że komunizm ani w Stanach Zjednoczonych A. P. ani w Anglii nigdy nie zwycięży.

Nie walka klas, nie nienawiść klasowa, ale harmonijna współpraca wszystkich klas, poszanowanie wzajemnych interesów i wzajemnej wolności, zgodnie z duchem etyki chrześcijańskiej i prawdziwej demokracji, zapewnią szczęście i dobrobyt nie tylko robotnika, ale całych narodów i ludzkości.

Józef Andrzej Teslar

PROBLEMY RELIGIJNE W ROSJI

SOWIETY I PRAWOSŁAWIE

W miarę, jak główny wysiłek Sowietów począł się kierować na Bliski i Średni Wschód, wzmogły się też próby Moskwy posługiwania się jako narzędziem w tej robocie zarówno rosyjskim, zsowietyzowanym jeśli chodzi o hierarchię, Kościołem prawosławnym, jak i innymi Kościołami prawosławnymi, i to nie tylko w krajach za żelazną kurtyną. Od dawna krążyły wersje o bliskiej współpracy patriarchy Antiochii z patriarchatem moskiewskim. Ostatnio doskonałej sposobności do propagandy dostarczyła Sowietom sprawa Cypru oraz pogromy Greków w Turcji. Prawosławny arcybiskup Aten Spiridon w liście do anglikańskiego arcybiskupa Canterbury zapewniał, że nie mogłoby dojść do takich wydarzeń, póki istniało święte cesarstwo rosyjskie. Wyraźnie pod wpływ polityki sowieckiej dostał się inny grecki dostojnik kościelny, patriarcha Aleksandrii w Egipcie, Krzysztof. Po powrocie z wyprawy do Moskwy, oświadczył on: „Tak jak ongiś za czasów carskich... Rosja obiecała przyjść z pomocą Kościołowi Aleksandrii... Niewątpliwie dzisiejsi władcy Rosji mają własne wyobrażenia o różnych sprawach. W stosunku do Kościoła stanowisko ich jednak zmieniło się całkowicie. Wszędzie i zawsze popierają oni Kościół".

Sposobności do pobytu patriarchy Aleksandrii w Związku Sowieckim dostarczyły uroczystości ku czci św. Sergiusza w dniach od 16 lipca do 5 sierpnia 1956 roku, na które patriarcha rosyjski zaprosił głowy i przedstawicieli szeregu autokefalicznych Kościołów prawosławnych. Przybyli patriarchowie prawosławni Aleksandrii, Gruzji i Rumunii; metropolici kościołów prawosławnych w Polsce i Czechosłowacji, które przed pewnym czasem decyzją patriarchatu moskiewskiego uzyskały autokefalię (Kościołowi prawosławnemu w Polsce, oczywiście różnemu całkiem od jego następcy, po okupacji Kraju przez bolszewików, odebrano ją), dalej przedstawiciele patriarchatu Antiochii i reprezentant kościoła bułgarskiego.

Zgromadzeni dostojnicy prawosławni wysłali telegramy do szefów rządów czterech mocarstw, obradujących w Genewie, i ściśle według wzorów sowieckich wystosowali „apel pokojowy" do chrześcijan całego świata, by ratowali pokój, zagrożony przez przygotowania do wojny atomowej, czynione przez niektóre państwa. Uczestników zjazdu podejmowano w Moskwie z dużą pompą.

Sensacją było niewątpliwie pojawienie się patriarchy Aleksandrii. Jego liczni przeciwnicy utrzymują, że zwabiono go przyrzeczeniami oddania gminy Kościoła aleksandryjskiego w Moskwie i wypłacenia odszkodowania za jej dawniejsze fundusze, zablokowane od czasów rewolucji. Pośrednikiem był zręczny w taktyce poseł sowiecki w Egipcie; Sowietom oczywiście znane były troski finansowe patriarchy, jak utrzymuje się z tej strony. Jak doniosło czasopismo greckie „To Vima", synod Kościoła w Aleksandrii wyraził dezaprobatę podróży patriarchy i uznał z góry wszystkie jego porozumienia z patriarchą moskiewskim za nieważne. Chodziło zwłaszcza o sprawę wyświęcenia na biskupów dwóch archimandrytów, zwolenników patriarchy Krzysztofa, przy pomocy biskupów rosyjskich. Do wyświęcenia tego ostatecznie nie doszło, co wywołało żywe zadowolenie w Grecji i Konstantynopolu.

Pod władzą patriarchy Aleksandrii znajduje się ogółem 125 tysięcy członków Kościoła prawosławnego, w czym przeważają Grecy, a tylko około 10 tysięcy stanowią emigranci syryjsko-arabscy. Patriarcha cieszył się początkowo wielkim autorytetem w Grecji, gdzie go przyjmowano uroczyście w roku 1950 jako rzecznika i obrońcę hellenizmu na Bliskim Wschodzie. Autorytet ten patriarcha zaprzepaścił jednak zupełnie na skutek swych ciągłych konfliktów z biskupami i wizyty moskiewskiej. Pod koniec ub. roku rząd grecki zerwał stosunki z patriarchą aleksandryjskim, gdyż był najostrzej przeciwny zamierzonemu przez niego ustanowieniu egzarchy w Ameryce, stojąc na stanowisku, że jurysdykcja nad diasporą grecką przysługuje wyłącznie patriarsze konstantynopolitańskiemu.

W jaki sposób potoczą się dalej zmagania patriarchy z synodem i biskupami, nie wiadomo. Jak podaje „Prawosławnaja Ruś", otrzymał on w Moskwie dar w wysokości 5 tysięcy funtów egipskich. Wróciwszy do Aleksandrii oświadczył, że rząd sowiecki przyrzekł mu przekazać jako „metochion" kościół Św. Trójcy w Odessie, co przynosić ma rocznie 8 tysięcy funtów. Poza tym stopniowo wypłacone będzie odszkodowanie za zablokowane dochody kościoła aleksandryjskiego w Moskwie.

Echem poglądów patriarchy było oświadczenie przełożonego kościoła św. Mikołaja w Aleksandrii, archimandryty Cypriana, który powiedział, że Rosja jest podporą chrześcijaństwa w całym świecie i że rosyjski Kościół prawosławny zmierza ku wielkiemu rozkwitowi.

Patriarcha Krzysztof jest oczywiście wrogiem katolicyzmu. Choć nie komunista, nazwał „prowokacją" papieski dekret o ekskomunice, skierowany przeciw komunizmowi. Pozycja patriarchy w przyszłości zależna będzie od kalkulacji taktycznych Moskwy, a także i pułkownika Nassera w Kairze.

TADEUSZ STARK

W 25-LECIE OBJAWIEŃ

SIOSTRY FAUSTYNY KOWALSKIEJ

W dniu 22 lutego br. przypada dwudziesta piąta rocznica objawienia przez Chrystusa siostrze Faustynie w Płocku swego obrazu symbolizującego nową formę kultu Miłosierdzia Bożego.

Rocznica ta, dla wszystkich, którzy znają cudowne objawienia siostrze Faustynie, jest nową okazją do zastanowienia się nad miłosiernym orędziem Zbawiciela, przekazanym nam w tak nadzwyczajny sposób za pośrednictwem skromnej polskiej siostry zakonnej.

Mija zaledwie 25 lat, a jakże zastanawiający i wprost cudowny jest rozwój tego nabożeństwa, które rozszerza się i jest już powszechnie znane daleko poza granicami Polski. Można już dziś powiedzieć, że siostra Faustyna swym posłannictwem przekroczyła granice i przepłynęła oceany, gdyż nabożeństwo do Miłosierdzia Bożego rozpowszechnione jest także szeroko w Stanach Zjednoczonych, za morzami i oceanami. Gdy oglądamy egzemplarze wielojęzycznych wydawnictw poświęconych nabożeństwu do Miłosierdzia Bożego, gdy w prasie amerykańskiej widzimy fotografie Murzynek składających petycje o beatyfikację siostry Faustyny lub ślubujących ochotnicze wykonanie posłannictwa, nie mamy wątpliwości, że istotnie dla posłannictwa tej prostej i nieuczonej Polki nie ma różnic rasowych, nie istnieją granice językowe.

DZIEJE OBRAZU

Przypomnijmy sobie cudowne dzieje obrazu Najmiłosierniejszego Zbawiciela.

Podczas swego pobytu w Płocku, w roku 1931, miała siostra Faustyna wizję przedstawiającą ludzką postać Chrystusa ubranego w białą powłoczystą szatę, przepasaną pasem. Prawą ręką Chrystus błogosławił światu, a lewą dotykał okolicy Serca, skąd biły promienie, biały i czerwony. Promienie te symbolizują wodę i krew, jakie wypłynęły z boku Zbawiciela przy otwarciu go włócznią na krzyżu; woda jest symbolem sakramentów oczyszczających duszę (chrzest i pokuta), a krew symbolem sakramentów życiodajnych (Sakrament Ołtarza itd.). Zwracając się w swej wizji do siostry Faustyny, Chrystus polecił jej wymalowanie swego obrazu, takiego jaki widzi, oraz zamieszczenie u spodu napisu: „Jezu, ufam Tobie". „Każdej duszy — rzekł Chrystus — która czcić będzie ten obraz, obiecuję, że nie zginie; obiecuję także tu na ziemi zwycięstwo nad nieprzyjaciółmi, a szczególnie w godzinę śmierci... Nim przyjdę jako Sędzia sprawiedliwy, przychodzę wpierw jako Król Miłosierdzia; ludzkość nie znajdzie uspokojenia, dopóki nie zwróci się z ufnością do Miłosierdzia Bożego".

Nie mając żadnego przygotowania ani uzdolnienia artystycznego i po wielu daremnych wysiłkach, siostra Faustyna zwróciła się za wiedzą i pomocą matki przełożonej i spowiednika do artysty malarza, Edmunda Kazimierowskiego, który w przeciągu kilku miesięcy, na podstawie podanych sobie wskazówek, namalował obraz Chrystusa Miłosiernego. Radość siostry Faustyny z wywiązania się z nałożonego na nią obowiązku była ogromna, lecz gdy pierwszy raz obraz ujrzała, nie mogła oprzeć się rozczarowaniu: podobizna Chrystusa była tu zaledwie dalekim, nikłym echem jej wizji. Po dalszych wysiłkach, drugi obraz został namalowany przez prof. L. Śledzińskiego z Krakowa.

W roku 1935 umieszczono obraz ten po raz pierwszy w kościele Ostrej Bramy w Wilnie, gdzie wówczas przebywała siostra Faustyna. W Niedzielę Przewodnią, opiekun duchowy siostry Faustyny, ks. Sopoćko, wygłosił też pierwsze kazanie na temat Miłosierdzia Bożego. W czasie kazania, obraz jak gdyby nabrał cech życia i siostra ujrzała promienie z Serca Chrystusa przenikające do serc ludzi w kościele zgromadzonych.

W czasie późniejszych widzeń, Chrystus wciąż przypominał siostrze Faustynie, aby obraz nie pozostawał w zapomnieniu, ale był publicznie czczony. Podyktował również siostrze modlitwy do Miłosierdzia Bożego, które nam wiernie przekazała (koronka, nowenna i litania). Zaledwie półtora roku temu, w dniu 2 września 1954 roku, w Krakowie, specjalna komisja kościelna do oceny obrazu, złożona m. in. z ks. biskupa Rosponda oraz żyjącego dotąd opiekuna duchowego siostry Faustyny, ks. Sopoćki, zatwierdziła obraz prof. Śledzińskiego jako symbol nowej formy kultu Miłosierdzia Bożego.

NOWA KSIĄŻKA O S. FAUSTYNIE

Polacy we Francji mogą nam wszystkim posłużyć za przykład w propagowaniu kultu Miłosierdzia Bożego, nie tylko wśród swoich, ale także i między obcymi. Rozwijający nadzwyczaj aktywną działalność ośrodek „Dzieła Miłosierdzia Bożego" (Oeuvre de la Misericorde) w Osny we Francji, ze swym kierownikem na czele, ks. Alojzym Misiakiem, zarazem wicepostulatorem beatyfikacji siostry Faustyny, uczcił 25-lecie objawień obrazu Miłosierdzia Bożego wydaniem nadzwyczaj udanej i polecenia godnej książki w języku polskim pt. „O Miłosierdziu Bożym".

Ogłoszona nakładem księży pallotynów w Paryżu, książka ta na stu pięćdziesięciu kilku stronach opisuje nie tylko dzieje życia siostry Faustyny, ale wprowadza przede wszystkim w ducha kultu do Miłosierdzia Bożego oraz podaje formy tego nabożeństwa zalecone w sposób cudowny siostrze Faustynie przez samego Zbawiciela. Tłumaczenie francuskie książki ma ukazać się na Wielkanoc, poprzedzone specjalnymi numerami „Posłannika Miłosierdzia" (Messager).

Specjalny rozdział książki ks. Misiaka mówi o łaskach otrzymanych już przez Polaków w Kraju czy za granicą, za przyczyną siostry Faustyny. Ukoronowaniem książki są wskazówki dla czcicieli Miłosierdzia Bożego oraz rady dla tych, którym leży na sercu rozpowszechnianie tego posłannictwa.

Bije z tej książki głęboka wiara religijna, prawdziwy duch apostolski oraz nieograniczona ufność w Miłosierdzie Boże. „Być czcicielem Miłosierdzia Bożego — pisze ks. Misiak — znaczy stawać się z dnia na dzień coraz doskonalszym i ochotniejszym narzędziem w ręku Boga. Ufność i gotowość, z jakimi stajemy na usługi planów Opatrzności, nie mogą się zasadzać li tylko na pobożnych praktykach; praktyki te są jedynie oliwą podsycającą ogień gorliwości w szerzeniu kultu, ufność zaś we wszechmoc Miłosierdzia będzie podstawą tak koniecznego dziś męstwa chrześcijańskiego."

W książce swej ks. Misiak zapowiada również zamiar zbudowania w Osny kaplicy-sanktuarium Bożego Miłosierdzia. Oby ten chwalebny zamiar zrealizował się jak najwcześniej, z pomocą Polaków z innych krajów emigracji.

JAK STAĆ SIĘ APOSTOŁEM MIŁOSIERDZIA?

Nie podobna czytać bez wzruszenia wskazówek i rad autora dla czcicieli i apostołów Miłosierdzia. „Musimy — pisze ks. Misiak — dążyć do głębszego zrozumienia symbolizmu, jaki w sobie zawiera ludzka postać Chrystusa, przedstawiona na obrazie..." Obraz miłosiernego Chrystusa ma nam służyć jako narzędzie i środek działania w rodzinach, szpitalach, więzieniach i szkołach. Stać się apostołem nabożeństwa do Miłosierdzia Bożego można przez modlitwę, życie, ofiary i uczynki miłosierdzia co do duszy i ciała. Należy dążyć ze wszystkich sił do doskonałości swego stanu, pielęgnując w szczególny sposób prawdziwą pokorę, delikatną czystość serca i bezinteresowną miłość Boga i bliźniego. Trudnościami w rozpowszechnianiu kultu Miłosierdzia nie należy się zrażać, gdyż sam Zbawiciel oświadczył siostrze Faustynie: „Nie powinnaś się zbyt przejmować przeciwnościami: świat nie jest tak silny, jak się wydaje; jego siła jest mocno ograniczona. Wiedz o tym, że jeżeli dusza twoja jest napełniona żarem czystej miłości wtenczas wszystkie trudności pierzchają jak mgła przed promieniem słońca, a wszyscy przeciwnicy boją się tą duszy zaczepić, bo czują, że jest silniejsza ponad świat cały."

Podczas swego pobytu w szpitalu w roku 1937 siostra Faustyna oświadczyła wyraźnie, że po śmierci będzie orędowała ludzkości, aby „o Miłosierdziu Bożym nie wątpiła ziemia". Czyż, w dwudziestopięciolecie cudownych objawień Siostry nie powinniśmy bliżej zastanowić się nad treścią jej posłannictwa i stać się w ręku Miłosiernego Boga narzędziem Jego bezgranicznej w Nim ufności? Pamiętajmy o słowach wyrzeczonych przez Chrystusa do siostry Faustyny: „Wszystkie sprawy tego, kto ufa Miłosierdziu mojemu, są moimi sprawami".

Dr Tadeusz Stark

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Obrządek wschodni w hołdzie Papieżowi. W dniu 13 marca zakończyła się w Nowym Jorku doroczna konferencja wschodnich obrządków katolickich, która rozpatrywała sprawy dogmatyczne, jak również możliwości i drogi sprowadzenia zbłąkanych schizmatyków na powrót do jedności ze Stolicą Piotrową.

Zakończenie tej konferencji poświęcono uroczystości uczczenia Papieża Piusa XII w rocznicę jego urodzin i koronacji. Nabożeństwo odbyło się w katedrze św. Patryka w Nowym Jorku w obecności kardynała Spellmana i dwóch tysięcy greko-katolików. Okolicznościowe kazanie wygłosił bp Griffiths, który stwierdził, że komuniści żelaznej kurtyny usiłują obecnie wbić klin pomiędzy katolików żelaznej kurtyny a Stolicę Apostolską, używając do tego celu ruchów, graniczących z herezją i apostazją. „Jest to szatańska metoda, stosowana przez wrogów religii i Boga" — powiedział biskup Griffiths. Nabożeństwo w obrządku wschodnim odprawił w katedrze biskup Mikołaj Elko, egzarcha apostolski, w asyście karpatoruskich księży i kleryków.

Nabożeństwo Słowian ku czci Papieża. Apostolstwo św. Cyryla i Metodego, grupujące Słowian zagranicą, urządziło w dniu 15 marca uroczyste nabożeństwo ku czci Papieża i w intencji nawrócenia heretyków za pośrednictwem Najśw. Dziewicy i Świętych Cyryla i Metodego. W szczególności intencją tego wspólnego Słowian nabożeństwa było pamiętanie o tych zbłąkanych katolikach, którzy współpracują z ateistycznym marksizmem.

Ks. arcybiskup J. Gawlina odprawił uroczystą Mszę św. w kaplicy Borghesiańskiej w bazylice Matki Boskiej Większej i wygłosił specjalne przemówienie. Po nim zaś ks. arcybiskup J. Buczko, wizytator apostolski dla wiernych obrządku bizantyńskiego celebrował liturgię w rycie wschodnim, tzw. moleben. Śpiewy wykonywali alumni kolegiów słowiańskich, w czasie Mszy św. arcybiskupa Gawliny również księża i klerycy polscy.

DZIEŃ MODŁÓW ZA KOŚCIÓŁ MILCZENIA

Katolicka Hierarchia Wielkiej Brytanii ogłosiła Niedzielę Przewodnią 8 kwietnia Dniem Modłów za prześladowany przez komunistów Kościół Milczenia. Proklamacja biskupów brytyjskich stoi w związku z zapowiedzianą wizytą w Anglii Bułganina i Chruszczewa, którzy krwawo zapisali się w historii Kościoła katolickiego.

We wspólnym liście pasterskim biskupi angielscy polecają publiczne modły za Kościół Milczenia oraz wystawienie Sanctissimum we wszystkich kościołach Wielkiej Brytanii, od ostatniej Mszy św. do wieczornego nabożeństwa w Niedzielę Przewodnią. „Na kolanach przed Najświętszym Sakramentem zanoście modły za prześladowców Chrystusa — mówi list pasterski. — Błagajcie Chrystusa i Jego Matkę o pociechę i siłę dla tych wszystkich, którzy prześladowanie cierpią za Wiarę. W ten sposób żenujące dla chrześcijaństwa wypadki wizyty staną się okazją nadziei i otuchy dla tych wszystkich, którzy żyją w cieniu Krzyża. Proponowana wizyta sowieckich rządców daje okazje odnowienia Papieskiego apelu o obronę Kościoła Milczenia. Wobec milionów cierpiących prześladowanie we wschodniej Europie chrześcijan proklamujemy publicznie, że wizyta nie oznacza wcale, jakobyśmy przyzwalali na bezbożną politykę. Nie wolno nam jednak milczeć. Podnosimy przeto publiczny głos w obronie prześladowanych. Mamy nadzieję, że rząd nasz powie wyraźnie gościom, jak kraj nasz brzydzi się prześladowania religijnego. Sprawiedliwość i słuszność domagają się tego jasnego i otwartego wypowiedzenia tych myśli."

Mówiąc o prześladowaniu religii za żelazną kurtyną, list pasterski, podpisany przez 18 arcybiskupów i biskupów z kardynałem Bernardem Griffinem na czele, stwierdza: Łatwo jest komunistom pokazywać teksty prawa sowieckiego i cytować gwarancje, dotyczące swobód religijnych w tych ustawach przewidziane. Sprawdzianem wolności nie jest jednak drukowane prawo, lecz to, co się dzieje. W każdym kraju, rządzonym przez komunistów, Kościół jest w kajdanach. Prześladowanie ich czasem subtelne i ukryte, a czasem otwarte i okrutne. Wszędzie jednak prześladowanie jest nieustępliwe. Mówimy o tym, o czym wiemy. Nie mamy potrzeby zachowywać milczenia."

Modlitwy za cierpiących prześladowanie. Katolicy Cejlonu za aprobatą arcybiskupa Colombo, Tomasza B. Cooray'a, rzucili projekt całorocznych modłów za Kościół prześladowany i jako wspomnienie 300-lecia prześladowanich na ich wyspie. Projekt przewiduje codzienne medytacje o Drodze Krzyża przez cały rok.

Ofiarność katolików na szkolnictwo. Katolicy południowo-afrykańscy w odpowiedzi na apel Episkopatu złożyli na utrzymanie szkół zamiast żądanych 500 tysięcy — 960 tysięcy funtów szterligów.

SPRAWY KATOLICYZMU W HISZPANII

PRASA KATOLICKA

Hiszpania posiada jedyne w swoim rodzaju w całym świecie, doskonałe wydawnictwo informacyjne o Kościele katolickim i różnych dziedzinach jego życia, zatytułowane „Guia de la Iglesia en Espana". W roku ubiegłym ukazał się pierwszy tom uzupełniający tego wydawnictwa, którego autorem i redaktorem jest dr Jesús Iribarren, dyrektor Urzędu Informacyjnego i Statystycznego Kościoła w Hiszpanii i były redaktor czasopisma „Ecclesia". Ów suplement obejmuje 290 stron i poza wykazem zmian w hiszpańskiej hierarchii kościelnej oraz zmian w rozgraniczeniu diecezji, zawiera między innymi szczegółowy wykaz hiszpańskiej prasy katolickiej oraz zestawienie wyników ankiety, dotyczącej praktyk religijnych w diecezjach Bilbao i Ciudad Rodrigo.

Hiszpania posiada obecnie aż 803 czasopisma katolickie (poza organami oficjalnymi Kościoła); istnieje nawet czasopismo, wydawane przez Apostolat Wojskowy Ośrodka Samochodowego. Przeważnie podane są też w książce nakłady czasopism. Oto największe pod tym względem czasopisma:

„El Pan de los Pobres" („Chleb Ubogich"), Bilbao, miesięcznik (nakład 100.000 egz.).

„Rayos de Sol — Mensajero del Corazón de Jesús" („Promienie Słońca — Posłaniec Serca Jezusowego"), Bilbao, miesięcznik (80.000 egz.).

„Hoja Dioecesana" („Gazeta Diecezjalna") diecezji barcelońskiej, tygodnik (80.000 egz.).

„Fides", wyd. Papieskie Dzieło Rozkrzewiania Wiary, Madryt, kwartalnik (75.000 egz.).

„Anales" („Roczniki"), wyd. Papieskie Dzieło Misyjne Św. Dziecięctwa dwumiesięcznik (63.000 egz).

„Hoja Dominical" („Gazeta Niedzielna"), wyd. Akcja Katolicka Hiszpanii, Madryt, tygodnik (60.000 egz.).

„Hoja Parroquial" („Gazeta Parafialna") diecezji Gerona, tygodnik (50 tys.).

„El Mensajero del Corazón de Jesús" („Posłaniec Serca Jezusowego"), wyd. Apostolstwo Modlitwy, Bilbao (50.000 egz.).

„El Mensajero de San Antonio" („Posłaniec św. Antoniego"), wyd. zak. kapucynów w Saragossie, miesięcznik (50.000 egz.).

„Oratorio Festivo" („Świąteczne Oratorium"), wyd. Instytut Salezjański w Barcelonie, tygodnik (50.000 egz.).

„La Voz de Nuestra Madre" („Głos Naszej Matki"), wyd. Ośrodki Córek Maryi), Madryt, miesięcznik (34.000 egz.).

„Javier" („Ksawery"), pismo misyjne diecezji Pamplona, tygodnik (33.000 egz.).

„Vida y Luz" („Życie i Światło"), ilustrowane czasopismo szkolne, wyd. Chrześcijańscy Bracia Szkolni, Madryt, miesięcznik (32.000 egz.).

Podane w tomie cyfry nakładów dają w sumie nakład łączny w wysokości 2.188.100 egzemplarzy. Jeśli na resztę policzy się tylko 700.000 egz., to okaże się, że średnio na dziesięciu katolików w Hiszpanii wypada jeden egzemplarz pisma katolickiego. Hiszpania jest krajem najmniejszej „gęstości gazet" w Europie; „gęstość" ta wynosi 60 egzemplarzy na 1000 mieszkańców, ale od strony prasy katolickiej jest znacznie wyższa, wynosi bowiem 100 egz. na 1000 katolików.

NA WSI HISZPAŃSKIEJ

Wspomniany pisarz Jesús Iribarren jest też autorem wydanego w roku ubiegłym doskonałego opracowania pt. „Wstęp do spocjologii religijnej", którego celem jest wyjaśnienie sytuacji kościelnej w kategoriach socjologicznych i wyciągnięcie z tego wniosków praktycznych. Autor uwzględnił cały dotychczasowy dorobek w tym zakresie, przede wszystkim francuski, amerykański i niemiecki. Po części teoretycznej następują wskazówki, dotyczące praktyki przeprowadzania ankiet religijnych, sporządzania statystyk i robienia wykresów.

Pierwsze większe praktyczne opracowanie powstało niemal równocześnie z pojawieniem się tej książki. Jest to studium „Takie są wsie" (Madryt, 1954), będące zestawieniem wyników ankiety, przeprowadzonej przez Akcję Katolicką w tysiącu wiejskich urzędów parafialnych Hiszpanii. Książka przynosi dane statystyczne dziesięciu prowincji wiejskich (będących zarazem diecezjami) Kastylii Północnej i Leonu, dotyczące klimatu, zaludnienia, podziału ziemi, uprawy ziemi, własności ziemskiej, urządzeń społecznych, liczby urodzin, praktyk religijnych oraz rozmieszczenia parafii i księży. Tekst książki ocenia materiał faktyczny i daje dobry wgląd w stosunki na wsi w głębi Hiszpanii.

Cechami charakterystycznymi są: niska gęstość zaludnienia, skupiającego się dokoła izolowanych grup osiedlenia (średnie zaludnienie wsi — 700 mieszkańców); złe połączenia komunikacyjne; brak jakiegoś nadmiernego odpływu ze wsi (tylko w 15% wsi zaznacza się spadek liczby ludności); częściowo wysoka śmiertelność niemowląt; złe zaopatrzenie małych wsi w lekarzy; częściowo katastrofalne warunki mieszkaniowe; 5% wielkich właścicieli ziemskich wobec 95% drobnych rolników. Wynikiem tego jest niedostateczne rolnicze wyzyskanie ziemi i niewystarczające świadczenia społeczne (miasta są pod tym względem uprzywilejowane).



Dar Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej dla Ojca Świętego, złożony przez prezesa J. Jundziłł-Balińskiego w Rzymie w czasie uroczystości osiemdziesięciolecia Papieża Piusa XII.

Z ankiety wynika, że nastroje wojny domowej zostały dziś na ogół przezwyciężone; w 72% wsi panuje zdecydowana atmosfera zgody. Przeciętny analfabetyzm spadł poniżej 10% (w całej Hiszpanii wynosił w roku 1900 58%, w 1947 — 20%); z drugiej strony odsetek nieuczęszczających do szkół jest jeszcze alarmująco wysoki. Minimum wykształcenia szkolnego daje w większości dopiero okres służby wojskowej. Nauczycielstwo, liczebnie wystarczające, w świetle wyników ankiety przedstawia się dobrze pod względem religijnym, moralnym i kulturalnym, za to jego sytuacja i samopoczucie zawodowe szwankują wskutek niedostatecznej podstawy materialnej. Rozpowszechnienie prasy religijnej jest duże, natomiast liczba przedstawień kinematograficznych i sprzętu radiowego bardzo niewielka.

Przedmałżeńskie pożycie seksualne także na wsi stało się częstsze, natomiast złamania wiary małżeńskiej, spędzania płodu i konkubinaty są wielką rzadkością. Rodzice niedostatecznie spełniają swe zadania wychowawcze. Dygnitarze wyżsi (nauczyciel, lekarz, ale także weterynarz, aptekarz, sekretarz gminny, policjant wiejski) mają jeszcze bardzo silny wpływ na ludność; wprawdzie nigdzie nie zajmują stanowiska nieprzyjaznego wobec życia religijnego parafii, ale rzadko kiedy wykazują wzorową działalność religijną (zależy to oczywiście w znacznej mierze od indywidualności proboszcza).

W obszarze — objętym ankietą — 86% wypełnia swe religijne obowiązki wielkanocne, a 59% mężczyzn i 72% kobiet obowiązki niedzielne i świąteczne. Prawie 100% otrzymuje Chrzest i Ostatnie Sakramenty; 6,6% uczęszcza na Msze św. w dni robocze. Praktyki religijne są tym częstsze i regularniejsze, im mniejsza jest wieś.

Wewnętrzna postawa religijna jest często apatyczna, kiedy indziej znów sentymentalna (jednostronne uwielbienie Świętych) lub zabobonna, ogólnie jednak istnieje silna tradycja religijna i zadowalające wykształcenie religijne. W więcej niż połowie objętych ankietą wsi istnieją grupy Akcji Katolickiej, Konferencje św. Wincentego à Paulo, albo stowarzyszenia p. n. „Chleb Ubogich". Wszystkie probostwa skarżą się na wielkie trudności finansowe.

Obraz, jaki daje ankieta, mimo wykazanych przez nią licznych niedomagań społecznych, jest na ogół pokrzepiający i w porównaniu z innymi krajami wykazuje dużo cech pozytywnych. Z drugiej strony jednak należy zaznaczyć, że tylko 53% zapytanych urzędów parafialnych odpowiedziało na ankietę, co nasuwa przypuszczenie, że w pozostałych 47% parafij stosunki mogą przedstawiać się gorzej lub lepiej.

NOWE KSIĄŻKI

„Karierowicz"

Tytuł utworu, to jeden z istotnych składników dzieła literackiego. Mniej ważny jest tytuł dzieła muzycznego i plastycznego, aczkolwiek także nie całkiem obojętny. Dobre dzieło literackie powinno mieć dobry tytuł, taki jak „Ogniem i mieczem", „Popioły", „Wierna rzeka", „Lalka", „Soból i panna". „Droga donikąd" to tytuł nadzwyczaj udany, poza walorem pojęciowo-językowym pokrywający również doskonale treść powieści. „Karierowicz"*) natomiast, tytuł ostatniej powieści Józefa Mackiewicza, po prostu zaskakuje. Brzydki, pół polski, zalatujący najgorszym mieszczaństwem, a przede wszystkim nie przystający do treści dzieła. Tytuł nie literacki, lecz publicystyczny, afiszowy, o sto mil daleki od klimatu, jaki panuje na kartach powieści i w ładnych rysunkach Kazimierza Pacewicza, zdobiących książkę.

„Droga donikąd" przyniosła Józefowi Mackiewiczowi takie uznanie, że zwykłą koleją rzeczy po później wydanym „Karierowiczu" spodziewano się zbyt wiele. Niektórzy krytycy nawet wpadli w wilczy dół daty wydania tej powieści, późniejszej od „Drogi donikąd", uznając ją za wyższe osiągnięcie literackie. Na całe szczęście „Karierowicz", chociaż wydany przed paru miesiącami, wyszedł wcześniej spod pióra autora, aczkolwiek i „Droga" czekała na wydanie lat dziesięć. „Karierowicz" jest nieporównanie słabszy artystycznie od „Drogi", mimo że założenie pierwszej powieści wydaje się bardziej literackie niż drugiej, ostatecznie powieści politycznej.

Możnaby jednak znaleźć między nimi pewne podobieństwa: kraj ten sam, ludzie, ten sam smutek i pesymizm autora i nawet podobne wątki (rola dwu kobiet w życiu Leszka, jego wyprawa donikąd w puszczę). Ale inny czas różni biegunowo obie powieści. „Karierowicz" jest jedną z wariacji pisarskich na temat wiecznie nieodmiennej doli ludzkiej. Autor świadomie odebrał imiona ziemi, miasteczku, rzece, więcej, zatarł narodowość ludzi, chcąc jakby powiedzieć, że to wszystko rzeczy nieważne wobec ich wspólnej doli. „Karierowicz" to powieść o ludziach, jednakich w każdym czasie i każdej przestrzeni, „Droga donikąd" to powieść o ludzkości w określonej chwili historii. W niej to mało ważne sprawy jednostek urastają do eposu ludzkiego universum, z tragedyjek i dramatów potężnieją w niemal kosmiczną symfonię powszechnego życia na granicy rozpaczy.

Toteż w „Drodze donikąd", jakby pod jakimś zaćmionym słońcem, przyroda nie jest już ani powierniczką czy pocieszycielką, ani nawet niemym świadkiem, lecz chłodnym i bezlitosnym vacuum, w którym po orbitach przymusu krążą bezwolnie i rozbijają się o siebie meteory ludzi. Ziemia „Drogi donikąd" nie jest już ucieczką; jej piękno jest okrutne. Zalążki tego widzenia przyrody tkwią w „Karierowiczu". Dwaj leśni starcy kiwają z politowaniem głowami nad młodzieńcem, któremu się marzy życie w puszczy. „Bez chaty żyć nie można" — oto mądrość, do której doszli po całym życiu starcy przekazując ją młodemu. „Karierowicz" opowiada o ludziach jeszcze osiadłych w domach, podczas gdy „Droga donikąd" jest eposem ludzkości wysiedlonej i bezdomnej, wygnanej z domów.

Podłostki i słabostki, w których powodzi błyśnie czasem niespodziewanie kępka litości lub poświęcenia, w „Drodze donikąd" rozlewają się w mare tenebrarum powszechnego strachu i zdrady. Ton rozpaczy w tej powieści jest tak wysoki, że musi się wątpić, aby pesymizm Józefa Mackiewicza mógł dojść jeszcze dalej. Dlatego po „Drodze donikąd" „Karierowicz" wydaje się prawie sielankowy.

Józef Mackiewicz jest urodzonym powieściopisarzem, chociaż w jego twórczości mnóstwo jest mchów czy poszycia publicystyki. Mistrz opisu, niezrównany malarz i rysownik szczegółu, konstruktor mocnych żebrowań fabularnych i psychologicznych, obok nalotów publicystyki — jego wady — zdradzą inną jeszcze słabość: w dialogu. Ludzie Mackiewicza wypowiadają ciekawe aforyzmy o życiu, a najczęściej długie tyrady publicystyczne, ale nie umieją wcale ze sobą rozmawiać. Ideałem powieści Mackiewicza byłaby taka, w której ludzie nie mówiliby nic. Może to cecha plemienna albo właściwość ludzi zżytych z przyrodą? Tak czy owak, Józef Mackiewicz, nie umiejąc sobie poradzić z mową artykułowaną, ma za to niezwykły dar przedstawiania rzeczy i istot nie obdarzonych mową lub prawie niemych. Najciekawsi i najbardziej plastyczni jego bohaterowie są przeważnie milczący, a jakże wiele mówią Mackiewiczowe ptaki, zwierzęta, drzewa, mgły i deszcze, błotniste drogi! Tak i w „Karierowiczu" dialogi są główną słabością, opisy zaś najmocniejszą stroną powieści. Nic dziwnego, że autor ucieka w niej od rozmów i z radością zatapia się w opisach. Skutkiem tego „Karierowicz", zwłaszcza w pierwszej części, rozsypuje się kompozycyjnie. Postanowienie Leszka, aby uciec w puszczę, nie tłumaczy się ani trochę rozmowami z Florem, wątki erotyczne mają źródło w niemych spojrzeniach i odruchach, wszyscy ci ludzie jakby się bali słów. Toteż sytuacje wypływają ze siebie bez uzasadnienia, często sztucznie, napięcia dramatyczne są po prostu nieme. Słowem, przesada w kierunku animalizmu.

Piękna gwara polsko - litewska ogromnie traci skutkiem Mackiewiczowego oniemiania bohaterów. Wykrzykniki: „Ech, puszcza!" i „Ech, życie!" — obrysowują horyzont niemal każdej rozmowy. Wszystkie te rozmowy są zbyt do siebie podobne, szablonowe. O artyzmie stanowi ostatecznie język. Nie ma wielkiego utworu literackiego bez żywej rozmowy, tak jak nie ma życia bez chaty.

J. B.

*) **Józef Mackiewicz KARIEROWICZ.** Biblioteka Autorów Polskich. Księgarnia Polska „Orbis", Londyn 1955. Ilustracje Kazimierza Pacewicza. Stron 251+6 nl. Twarda okładka, obwoluta.

WIECZORY TEATRALNE

„CIEŃ"

Pożegnalne występy Marii Modzelewskiej na polskiej scenie w Londynie, po blisko półrocznym pobycie aktorki w duchowej stolicy emigracji, miały, jak wszelkie pożegnania, charakter smutny. Szkoda, że nie zobaczymy więcej tej świetnej artystki, zwłaszcza że lata lecą... Na pożegnanie wybrał Teatr Polski (kierownictwo: S. Belski i L. Kielanowski) sztukę dla walorów talentu Modzelewskiej bezspornie popisową, ale stanowczo za smutną jak na ostatek. Smutną w niemal żałobnej treści i smutną przez jej niepowrotny przekwit jako sztuki scenicznej. To nie jest sztuka żywa, lecz muzealna.

Istnieją dzieła sztuki, które się nie starzeją nawet po wiekach. Są takie, które giną z dnia na dzień. Są wreszcie takie, jak „Cień", które mając zadatki na długowieczność, więdną nagle w wietrze czasu, schną jak liście zwarzone słońcem i nie mają już żadnej nadziei na odżycie. Trudno nawet powiedzieć, dlaczego. Bo „Cień" to bez wątpienia dzieło dużej kultury dramatycznej, wypracowane wzorowo pod względem pisarskim, poważne w problematyce, oryginalne i zajmujące scenicznie. A jednak...

Dwie bodaj przyczyny przesądziły o przekwicie tej sztuki: monotonia charakterów i przegadane moralizatorstwo. Wszystkie postacie „Cienia" są szlachetne, wszystkie bez cienia egoizmu, wszystkie się zadręczają, jak zaradzić złu, którego są współtwórcami i zarazem ofiarami, a czynią to w sposób tak przeraźliwie wymowny i skrupulatny, że zamazują wszystko, co w sztuce jest ciekawe i naprawdę dramatyczne. Wszystkie ich winy płyną z litości, współczucia, przyjaźni, a niedomyślność i rezonerstwo nie mają granic. Już to samo, że wysłuchują nie kończących się wzajemnych tyrad, świadczy o ich anielskiej cierpliwości. Na każde ostrzejsze słowo czy scenę leją tyle balsamu, jakby to była zwykła woda. Nie, tak już dzisiejszy człowiek nie potrafi się pieścić nawet z własną dolą.

Z tego, co wyżej napisano łatwo sobie dośpiewać, jak trudną rolę wzięła na siebie Modzelewska, na której spoczął prawie cały ciężar sztuki. Zagrała też na całej klawiaturze; słowa, gestu, mimiki. Długo będziemy czekać na taką aktorkę. Nie można się jednak oprzeć wrażeniu, że Modzelewska zagrała wszystkie trzy role w Londynie z widocznym smutkiem, jakby się rzeczywiście chciała pożegnać ze sceną.

Leopold Kielanowski, który doskonale wyreżyserował Modzelewską, co mu zapewne nie przyszło z trudnością, widać powodowany instynktem samoobrony przed „ciężkością" sztuki, postanowił ją urozmaicić... aktorami rewiowymi. Wyszło z tego nic dobrego. Trzeba sobie raz wreszcie odważnie powiedzieć, że nawet niebotyczne zasługi aktorów kabaretowych nie usprawiedliwiają powierzania im ról dramatycznych. Świadczyłoby to o braku smaku, gdyby nie fakt, że Kielanowskiego można posądzić o wszystko, za wyjątkiem braku smaku. W tym wypadku trzeba go posądzić o lekkomyślność, i to podwójną. Zresztą Helena Kitajewicz pokazała piękne suknie oraz kapelusze wiosenne. Fryderyk Jarosy z powodzeniem przypomniał „Qui pro quo".

Artur Butscher i Jadwiga Butschenowa stworzyli ładne sylwetki. Wojciech Wojtecki grał — jak mu się to ostatnio często zdarza — bez przekonania, ale mimo zakatarzenia nie zeszedł poniżej poziomu dobrego aktora.

Halina Zeleńska dowiodła, że przejściowe porażki scenograficzne są widać potrzebne, aby pokazać, jaką rozkosz estetyczną mogą dać tak udane dekoracje jak w „Cieniu".

J. B.

PODZIĘKOWANIE

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie mając możności osobiście podziękować na wszystkie otrzymane listy i depesze z życzeniami z racji naszego „srebrnego wesela", pragniemy prosić Pana Redaktora o łaskawe wydrukowanie niniejszego listu, byśmy mogli choć tą drogą podziękować wszystkim za okazane nam tak liczne i tak wzruszające dowody życzliwości.

Łączymy wyrazy prawdziwego poważania

Jędrzej Giertych („Polonus")
i Maria z Łuczkiewiczów
Giertychowa

TEATR ANGIELSKI

„Moskiewski" Hamlet

Zgodnie z polityką „pokojowej koegzystencji" i tzw. duchem genewskim, kultywowanym przez jakiś czas po zeszłorocznej konferencji głów wielkich mocarstw, ożywiono wymianę kulturalną pomiędzy Wschodem i Zachodem. Wówczas to udał się do Moskwy na kilkutygodniowy występ zespół aktorów brytyjskich z **Hamletem** w reżyserii Peter Brooka. Występ uwieńczony został dużym sukcesem, jako że była to pierwsza wizyta aktorów angielskich w Rosji od czasu Rewolucji i okazja do ujrzenia zachodniego stylu gry. Po powrocie do Anglii ten sam zespół zaprezentował tę inscenizację w Phoenix Theatre w Londynie. Mimo mieszanego przyjęcia przez krytyków „moskiewski" **Hamlet** grany był na West Endzie przez szereg miesięcy ze sporym — jak się przekonałem — zasłużonym powodzeniem.

Jak już wspomniałem omawiając na tych łamach Hamleta z Old Vic,*) reżyserowi i wykonawcy głównej roli w tej najwspanialszej tragedii Szekspira niełatwo jest zadowolić publiczność. Sztuka ta jest dość często grana, studiowana w szkole, w rezultacie każdy ma ustalony pogląd na nią, ma własną koncepcję Hamleta, i w ogóle „wie lepiej", jak tę rolę należałoby zagrać. Z drugiej strony sztuka ta nastręcza wiele trudności przez swe bogactwo treściowe i konceptualne, nie mówiąc już o znacznej długości w czasie. Cały geniusz dramatyczny i poetycki Szekspira ujawnił się w tej jedynej w swoim rodzaju przeróbce nieudolnego starego melodramatu traktującego o krwawej zemście, o szaleństwie i łańcuchu mechanicznie dokonywanych zbrodni. U Szekspira pozostały zbrodnie, szaleństwo, samobójstwo, ale nowy dramaturg przeniósł je na zupełnie inną płaszczyznę: poezji i intelektu. Szekspir roztoczył przed oczyma widzów całe bogactwo renesansowego świata; pokazał jego przepych, sztukę, filozofię, nawet krytykę literacką. Akcja tragiczna posiada ogólno-ludzki wydźwięk i rozwinięta jest konsekwentnie. Wpleciona w nią jest satyra, komedia, refleksja, ironia i poezja o ogromnej subtelności. Charaktery nakreślone są wnikliwie. Dominuje wiecznie fascynujący Hamlet — uczony książę z epoki humanizmu, który... Ale o nim pisał nie będę, bo napisano już o nim setki tomów i ogłoszono tyleż sprzecznych z sobą teorii, nie znaleziono jednak do tej postaci klucza. Nie ma w tym nic dziwnego; któż bowiem znalazł klucz do życia? Hamlet wymyka się wyczerpującej interpretacji, bo nie jest określoną „książkową" postacią, ale charakterem złożonym, jak postać w życiu, której nie sposób ująć w definicję. W jego osobie Szekspir rozważył problem korelacji działania i refleksji. To właśnie jest zasadniczym motorem sztuki i probierzem jej wykonania w teatrze.

Inscenizacja Peter Brooka jest jedną z najlepszych, jakie widziałem w Anglii. Nie była ona typu „wizyjnego": Niespełna 30-letni, a niemal najlepszy już dziś w Anglii, reżyser nie starał się narzucić widzom siebie i pokazać im to, co sam myśli o **Hamlecie,** ale postarał się wiernie oddać to, co Szekspir chciał wyrazić. Brook położył nacisk na tekst, ale uniknął rzemieślniczej funkcjonalności (pod znakiem której jest teraz Old Vic). Była to artystycznie ciekawa inscenizacja. Tempo utrzymane było bezbłędnie. Nie widziałem jeszcze podobnej sprawności technicznej: nie stracono ani sekundy na zmiany dekoracji, mimo że były one dość skomplikowane. Brook osiągnął rekord w ekonomizowaniu czasem: mimo, że prawie żadnej sceny nie zagrał zbyt szybko, zamknął inscenizację pełnej, nieskróconej sztuki w 3 godzinach (nie wydawało mi się, aby podobny wyczyn był możliwy bez zastosowania sceny obrotowej). Światłami operował bardzo śmiało — nie unikając nawet rozgrywania niektórych scen w zupełnej ciemności (np. scena 1). Pomysłowe było wyodrębnienie monologów Hamleta górnym, ruchomym reflektorem, często przy zaciemnieniu reszty sceny. Nie znaczy to, bym nie miał zastrzeżeń w stosunku do potraktowania pewnych scen przez reżysera (np. scena wtargnięcia Hamleta do pokoju modlącego się króla była, moim zdaniem, ujęta fałszywie), ale jako całość inscenizacja Brooka stanowi znakomite osiągnięcie. Dodatni efekt pogłębiały bogate i gustowne kostiumy, oraz ekonomiczne w wykorzystywaniu przestrzeni, sceniczne, a zarazem piękne dekoracje pomysłu Georges Waknevitcha. Ich zasadniczym elementem była boczna konstrukcja łuków i kolistego centrum sceny, uzupełniane w razie potrzeby dodatkowymi szczegółami pomysłowo i efektownie.

Jeśli trzeba operować „trójcami" w ustalaniu hierarchii przedstawicieli rozmaitych rodzajów sztuki, to można powiedzieć, że w ślady Gielguda, Oliviera i Redgrave'a, jako najwybitniejszych aktorów szekspirowskich występują w młodym pokoleniu aktorskim John Neville, Richard Burton i Paul Scofield. Pierwszego z nich nie mieliśmy jeszcze możności oglądać w roli Hamleta, która jest niewątpliwie największą i najtrudniejszą z ról w szekspirowskim repertuarze. Burtonowi wróżyłem spore nadzieje, gdy grał Hamleta dwa lata temu. Scofield, występujący w inscenizacji Brooka, już po raz drugi w tej roli, niewątpliwie pogłębił swą interpretację od czasu swego pierwszego Hamleta w Stratfordzie. Postawiłbym go trochę powyżej Burtona. Jego Hamlet jest bardziej przemyślany, znakomity w akcji, przekonywujący w refleksji. Burton nieco górował nad Scofieldem energią, ale był zanadto gwałtowny. Zarówno on, jak i Olivier, nie doceniali podstawowej łagodności Hamleta. Dopiero Scofield należycie tę cechę wydobył i np. pierwszy zagrał scenę z Ofelią (get thee to the nunnery...) tak, jak, moim zdaniem, powinna być grana; z czułością i smutną refleksją, zamiast opryskliwie i brutalnie zrzucić ją ze schodów (patrz film Oliviera). Scofield ma przyjemny głos i w przeciwieństwie do Burtona, zawsze należycie artykułowany. Ale obaj młodsi aktorzy ustępują pod tym względem Gielgudowi i Olivierowi. (Chyba Neville im dorówna kiedyś). W sumie Hamlet Scofielda jest ciekawą i na ogół zadowalającą kreacją.

Prawdziwą sensacją stała się w świecie teatralnym kreacja Klaudiusza przez wybitnego i doświadczonego aktora Alec Clunesa, będąca w dużej mierze rehabilitacją króla. Clunes gra z godnością, bez ukrytego fałszu i zdaje się sugerować, że Klaudiusz, mimo popełnienia fatalnego grzechu, jakim było zabójstwo brata, jest dobrym królem i żałuje swej zbrodni. Ciekawa interpretacja i mająca pewne podstawy w tekście (modlitwa króla). Trzeba dodać, że Alec Clunes ma świetną dykcję i słucha się go z przyjemnością. Wybił się również Poloniusz, którego grał nestor aktorów brytyjskich Ernest Thesiger, uderzająco podobny do Solskiego i niewiele od niego młodszy. Diana Wynyard była możliwą królową, natomiast przyjemna aktoreczka Mary Ure (Ofelia) stanowczo nie powinna grać ról szekspirowskich, do których się nie nadaje. Michael David jako Horacy był kiepski (dykcja!). Słabi również byli żołnierze i efekt pierwszych paru scen został w dużej mierze zmarnowany. Reszta zespołu kompetentna, a w każdym razie wykorzystana przez reżysera w pełni.

Dobrze się stało, że ten „eksportowy" **Hamlet** został również wystawiony w Londynie. Stał się bowiem jedną z najwybitniejszych pozycji tego sezonu i jedną z najciekawszych inscenizacji Szekspira w ostatnich latach. Dlatego mimo swych usterek inscenizacja ta będzie długo pamiętana, nie tylko w... Moskwie.

Bolesław Taborski

*) Patrz ŻYCIE nr 11/351 z 14.3.54.

LIST Z NIEMIEC

ECHA NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

REHABILITACJA ZBRODNIARZY NORYMBERSKICH?

„Grossadmiral" Raeder, były naczelny dowódca hitlerowskiej floty wojennej, skazany w pierwszym procesie norymberskim na długoletnie więzienie, z którego po odsiedzeniu kary został zwolniony kilka miesięcy temu, był obywatelem honorowym Kilonii. W grudniu 1945 roku pozbawiony został obywatelstwa honorowego. Dziesięć lat później, w roku 1956, stwierdzono, że odebranie obywatelstwa honorowego nie odpowiadało obowiązującej w takich wypadkach procedurze. Z tego powodu przywrócono Raederowi obywatelstwo honorowe miasta, będącego stolicą floty wojennej. Jak donosi socjalistyczny „Pressedienst" w Bonn, hitlerowski admirał Raeder pobiera jako były oficer zawodowy emeryturę w wysokości 2.246 marek miesięcznie (około £ 190)!

KŁOPOTLIWA PRZESZŁOŚĆ DRA H. GLOBKE'GO

Dr Hans Globke, sekretarz stanu w urzędzie kanclerskim w Bonn, jest od dłuższego czasu przedmiotem natarczywych ataków szczególnie ze strony kół socjalistycznych. Globkemu zarzuca się m. in. fakt, że jest autorem powszechnie znanego komentarza ustaw norymberskich, które — jak wiadomo — skierowane były przeciwko Żydom.

Ostatnio berlińskie pismo socjaldemokracji niemieckiej, „Der Telegraf" (z 24 lutego), przytacza list jednego z czytelników, zawierający nowe, wybitnie kompromitujące szczegóły przeszłości obecnego sekretarza stanu i aktywnego działacza katolickiego.

„Mniej więcej w październiku 1939 — pisze autor tego listu — otrzymałem od siostry mojej w Wejherowie list pełen rozpaczy. Razem z mężem i dziećmi oraz z bardzo niewielkim bagażem została w nieludzkich warunkach wypędzona z domostwa swego (von Haus und Hof) i ewakuowana do Galicji. Ponieważ szwagier mój politycznie nie występował i ponieważ nosi nawet niemieckie nazwisko, chciałem się dowiedzieć, jak tego rodzaju zarządzenie było możliwe. Udałem się do ministerstwa spraw wewnętrznych, w którym skierowano mnie do radcy ministerialnego dra Globkego, jako kompetentnego dla spraw przesiedleń w Polsce. Przedstawiłem temu panu moją sprawę i z tego wynikła następująca rozmowa:

— Kim jest pański szwagier? — zapytał Globke.

— Mój szwagier jest lekarzem — odpowiedziałem.

— I nie jest rozstrzelany? Przecież cała polska inteligencja została rozstrzelana! — zawołał Globke.

Słowa te, tutaj przeze mnie dosłownie cytowane, których nigdy nie zapomnę — pisze autor listu — uderzyły mnie jak pałką w głowę, tym bardziej, że wypowiedziane zostały w tonie do najwyższego stopnia zdziwionego oburzenia. Globke dodał następnie w tonie nieco już umiarkowanym coś w rodzaju: coś tam widocznie zarzucano pańskiemu szwagrowi, prawdopodobnie był katolikiem lub tp. Przestałem już słuchać jego słów, bo zajęty byłem okropną myślą, że to, co nie nastąpiło jeszcze, nastąpić może. Może było głupstwem wskazywanie na to, że ktoś z polskiej inteligencji nie został jeszcze rozstrzelany. Zmiażdżony wyszedłem od człowieka, od którego spodziewałem się pomocy.

Powyższe moje osobiste doświadczenia z Globkem dałem już w kilku miejscach do protokółu. Również pewna pani, która razem ze mną we własnej sprawie była u Globkego i która była świadkiem powyższej rozmowy, zwróciła się do różnych ministrów federalnych a nawet do Adenauera z zapytaniem, jak to możliwe, że człowiek jak Globke dostał się do obecnego rządu. Nic się nie stało!"

Powyższy cytat jest dosłownym przetłumaczeniem listu, ogłoszonego przez „Der Telegraf". List ogłoszono 24 lutego br. Do dzisiaj (12 marca) nie ogłoszono żadnego dementi ani wyjaśnienia w powyższej sprawie.

ODZNAKA HITLEROWSKA ODSUNĘŁA KRZYŻ ZASŁUGI

Dr Otto Ulitz, znany przed wojną na Śląsku prezes niemieckiego „Volksbund'u", nie otrzymał — jak donosi „Spiegel" z 14 marca — „krzyża zasługi" Niemieckiej Republiki Federalnej, albowiem posłowie CDU zwrócili uwagę miarodajnych czynników na fakt, że Ulitz otrzymał w swoim czasie „za zasługi dla niemczyzny" złotą odznakę partii hitlerowskiej. Ulitz przebywał po wojnie kilka lat w więzieniu polskim i około dwa lata temu wrócił najpierw do wschodnich, później do zachodnich Niemiec. Ulitz piastuje obecnie godność prezesa górnośląskiego związku uchodźców (Oberschlesische Landsmannschaft).

*

„ARBEITSKREIS OST" W WIESBADENIE

W lecie ub. roku założone zostało w Wiesbadenie towarzystwo sądownie rejestrowane pod nazwą „Arbeitskreis Ost" (w skrócie „Akros"). Celem towarzystwa jest, według statutu: „nawiązanie i rozwijanie naukowych stosunków z krajami Wschodu w celu rozwoju idei porozumienia pomiędzy narodami. Jakakolwiek aktywność polityczna lub ideologiczna towarzystwa n i e j e s t przewidziana".

Ostatnio rozesłał zarząd towarzystwa do wszystkich wyższych uczelni zachodnio - niemieckich, izb handlowych, różnych stowarzyszeń itp. swój program pracy, w którym zgłasza gotowość współdziałania przy organizowaniu wykładów, wspólnych kongresów, wymiany profesorów i studentów, podróży do krajów za żelazną kurtynę itd. Jako kraje akcji wymiany kulturalnej wymienione są: Rosja, Polska, Czechosłowacja, Węgry, Bułgaria, Rumunia, Chiny i Tybet — słowem wszystkie kraje bloku wschodniego.

Prezesem towarzystwa jest profesor Uniwersytetu w Moguncji, dr Hans Klumb, który w roku 1954 odbył dłuższą podróż po Rosji sowieckiej. W skład zarządu wchodzą m. in.: koloński profesor dr Guido Hoheisel, znany działacz neutralistyczny zachodnich Niemiec, oraz dr Hans Becker, rzecznik „porozumienia kulturalnego" pomiędzy obu częściami Niemiec. Sekretariat towarzystwa spoczywa w rękach pisarza Rainera Maria Wallisfurth, członka prezydium Towarzystwa Przyjaźni Niemiecko-Sowieckiej.

Personalia te wskazują wyraźnie na prokomunistyczny charakter tej nowej organizacji „zbliżenia" niemiecko-rosyjskiego, względnie niemiecko-polskiego. Towarzystwo rozporządza znacznymi funduszami, które — jak donosi „Schlesische Rundschau" — pochodzą od wyżej wspomnianego Towarzystwa Przyjaźni Niemiecko-Sowieckiej.

POLACY W NIEMCZECH

AKADEMIA PAPIESKA POLONII WESTFALSKIEJ

W dniu 4 marca odbyła się w Gelsenkirchen w Westfalii uroczysta akademia, zorganizowana przez Związek Polaków w Niemczech z okazji osiemdziesięciolecia urodzin Ojca Świętego. Akademia zgromadziła liczne rzesze starej i nowej emigracji polskiej z całego obszaru zagłębia Ruhry. Na program złożyły się przemówienia prezesa Związku Polaków, Szczepaniaka i dra Kudlickiego z Berlina, deklamacje i występy chóralne. Punktem kulminacyjnym było złożenie przez Polaków westfalsko - nadreńskich uroczystego ślubowania wytrwania przy wierze ojców, odczytanego przez ks. proboszcza Okosa, oraz adres hołdowniczy do Papieża Piusa XII, pod którym wszyscy uczestnicy uroczystości złożyli swoje podpisy. Wspólny śpiew „Boże, coś Polskę" zakończył tę piękną manifestację.

WALNY ZJAZD ZWIĄZKU POLAKÓW W NIEMCZECH

W dniach 3 i 4 marca obradował w Gelsenkirchen walny zjazd Związku Polaków w Niemczech, organizacji zasłużonej w okresie między wojnami. W zjeździe wzięli udział delegaci przybyli z najdalszych części Niemieckiej Republiki Federalnej, m. in. z Hamburga, Mannheimu i Berlina. Zjazdowi przewodniczył długoletni prezes, zasłużony działacz i więzień obozów hitlerowskich, Stefan Szczepaniak, który składał również sprawozdanie z pięcioletniej a właściwie z całej powojennej działalności Związku. Prace Związku napotykały w tym czasie na nieprawdopodobne wprost trudności i przeszkody. Wystarczy wymienić chociażby następujące tylko problemy, by dać przykład ogromu wysiłku, potrzebnego dla ponownego zreorganizowania Związku po wojnie i zapewnienia mu względnie normalnej działalności: odtworzenie szkieletu organizacyjnego Związku, zniszczonego całkowicie po wybuchu wojny przez władze hitlerowskie, pokonanie w związku z tym trudności, powstałych na skutek początkowego nierozróżniania przez władze okupacyjne obywateli niemieckich narodowości polskiej od Niemców, wyprocesowanie uznania osobowości prawnej Związku, kwestionowanej przez władze warszawskie, walka o odzyskanie przedwojennego, poważnego majątku Związku sprowadzona dziś już na tory realne, ale daleka jeszcze od upłynnienia poszczególnych wartości majątkowych i wreszcie powstałe na skutek tego trudności finansowe oraz organizacyjne, wywołane olbrzymimi stratami ludzkimi w czasie wojny i falą emigracji bezpośredniej po wojnie do Polski. Mimo całkowitego braku pieniędzy i najmniejszego chociażby aparatu administracyjnego, udało się władzom Związku odtworzyć dawne zręby organizacji i zapewnić skromną chociażby działalność poszczególnych oddziałów, rozrzuconych po całych zachodnich Niemczech. Zjazd przedyskutował dotychczasową działalność, udzielił ustępującym władzom jednogłośnie absolutorium, ustalił wytyczne prac na przyszłość, dokonał kilku zmian w statucie i powziął szereg poważnych uchwał natury finansowej.

Na prezesa Związku wybrano ponownie Stefana Szczepaniaka z Frankfurtu, na wiceprezesa Adama Bartniczaka z Remscheid i na kierownika Michała Wesołowskiego z Bochum.

S. C.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO - KULTURALNY

NIEDZIELA, 8 kwietnia 1956.

NASZE SPRAWY

STROJE POLSKIE

Proszę mi wybaczyć, że pozwolę sobie odstąpić dziś od tematów poważniejszych, zarówno jak bardziej aktualnych i zająć się czymś, co niejeden czytelnik może uznać za dziwactwo. Ale proszę pozwolić mi być przez chwilę dziwakiem. Dziwactwa są najczęściej nieszkodliwe, a nieraz mieści się w nich ziarno nie dostrzeganej przez „ludzi rozsądnych" mądrości.

Otóż dziwactwo, któremu chciałbym poświęcić dzisiejszy artykuł, to jest sprawa polskich strojów narodowych.

Już od wielu lat występowałem z poglądem, że nie powinniśmy pozwolić na to, by nasze stroje narodowe zaginęły, a nawet powinniśmy dążyć do tego, by noszenie tych strojów wznowić i przywrócić do godności i szacunku, o ile z użycia wyszły. Spotykałem się na to z odpowiedzią, że postulat mój jest nierealny, bo sprzeciwia się nieodpartym procesom historycznego rozwoju. Świat idzie ku kosmopolitycznej jednostajności, ubiory międzynarodowe, wyrobu fabrycznego, są tańsze do wyprodukowania, odpowiadają powszechnej modzie, a więc wypierają ubiory narodowe w sposób nieuchronny.

Otóż śmiem twierdzić, że to nieprawda. Ubiory międzynarodowe są tańsze i łatwiejsze do masowej produkcji, ale to nie znaczy, że muszą one stroje narodowe wyprzeć. Ludzie nie zawsze wolą rzeczy tańsze, prostsze i bardziej jednostajne; nieraz wolą rzeczy nawet droższe, ale piękniejsze, oryginalniejsze, oraz milsze sercu. Nie zawsze także wolą produkt fabryczny, czy masowy: nieraz wolą właśnie wyrób ręczny, wolą obraz od olejodruku, portret olejny od fotografii, haft czy kilim od tkaniny fabrycznej, suknię na zamówienie od sukni gotowej ze sklepowego kołka.

A co do szerzącego się kosmopolityzmu? Czy naprawdę jest on tak powszechny? Czy ludzie właśnie nie tęsknią za podkreślaniem swej odrębności, nie są z niej dumni, nie są spragnieni obnoszenia się z nią i pysznienia?

Oczywiście, czym innym jest ubiór roboczy od ubioru świątecznego. Do pracy w fabryce, w polu, w biurze czy w kuchni pewnie każdy woli płócienny fartuch, bluzę, czy kombinezon roboczy, albo tani garnitur ze sklepu. Ale na bal, na wizytę, na Mszę św. do kościoła, na wesele, na procesję Bożego Ciała, na uroczystość otwarcia Sejmu wkłada się nie to, co tańsze i najprostsze, lecz to, co najpiękniejsze, bardziej dostojne. Także i żołnierz ubiera się w szary strój polowy na wojnę, ale w bardzo nieraz barwny strój galowy, gdy idzie na wartę przed zamkiem królewskim.

Niedowiarkowie, którzy kpią sobie z marzenia o utrzymaniu się, czy odrodzeniu polskich strojów narodowych, zrobiliby dobrze, gdyby się uważnie rozejrzeli po ulicach brytyjskich miast.

Ileż tu szkockich spódniczek! Szkocka spódniczka, noszona przez mężczyzn, nie jest akcesorium teatralnym, ani ginącym, tułającym się po zapadłej wsi szczątkiem przeszłości, lecz zjawiskiem żywym i obejmującym całą Szkocję. To nie znaczy, że każdy Szkot ją nosi zawsze. Ale to znaczy, że mało jest takich Szkotów, którzy by jej nie nosili przynajmniej czasami, w niektórych okresach i okazjach swego życia. Noszą ją zarówno szkoccy chłopi, jak szkoccy lordowie i książęta, aż do króla włącznie. Noszą ją mieszkańcy miast zarówno jak mieszkańcy wsi. Noszą ją nawet potomkowie Szkotów w Kanadzie, w Australii, na Nowej Zelandii, ba! nawet w Stanach Zjednoczonych. A ileż w noszeniu tych spódniczek skrupulatności w przestrzeganiu tradycji! Sukienki szkockie różnią się nie okolicami, jak stroje ludowe w Polsce, lecz rodami. Każdy ród ma swój własny wzór szkockiej kraty. Campbell nie włoży spódniczki Macdonalda, a Macdonald Macphersona; chyba, że jego matka była z danego rodu, lub że ma on prawo do odmiennej niż własna spódniczki z jakichś innych względów, uznanych przez tradycję. W każdej księgarni w Szkocji, a w każdej większej księgarni w Anglii dostać można książki z barwnymi ilustracjami, przedstawiającymi kraty różnych rodów i ludzie interesują się tymi kratami tak, jak mundurami wojskowymi, albo — powiedzmy — jak znaczkami pocztowymi.

Co prawda, historycy twierdzą, że tradycje rodowych wzorów szkockiej kraty nie są tak dawne, jak ogół sobie wyobraża; podobno dawniej każdy mógł nosić w Szkocji takie kraty, jakie chciał i dopiero stosunkowo późno poszczególne wzory zrosły się z ubiorem poszczególnych rodów. Ale to nie zmienia faktu, że dzisiaj rzeczy te są przestrzegane w sposób dosyć ścisły.

A spójrzmy na Hinduski! Jak powszechnie noszą one swoje „sari" i jak uroczo w nich wyglądają! A to wcale nie jest tylko strój „ludowy"; to jest hinduski strój „narodowy", który noszą także i księżniczki. Każda Hinduska nosi „sari"; proszę zobaczyć hinduskie studentki w Londynie: wszystkie są ubrane w „sari". Hinduska ubrana po europejsku jest w Londynie rzadkim wyjątkiem, przypuszczam, że jeszcze rzadszym wyjątkiem jest w Indiach. I przyznam się między nami, że wygląda w tym europejskim stroju zawsze brzydko, niemal ordynarnie.

I przejedźmy się po kontynencie, zobaczmy Hiszpanki w ich wysokich grzebieniach i narzuconej na nie czarnej koronce i w barwnych strojach, które widzieć można zwłaszcza w procesjach w Sewilli. I zobaczmy Tyrolczyków i Bawarów w kapelusikach z piórkiem, w spodenkach z gołymi kolanami, w wełnianych pończochach. I Holenderki i Holenderki w ich strojach narodowych. I chłopów i baby wiejskie w strojach ludowych w wielu zakątkach Francji, Włoch, Niemiec, Portugalii, Grecji, Norwegii.

A na Węgrzech przed wojną mogliśmy widzieć stroje szlacheckie w parlamencie i na przyjęciach u admirała Horthy w zamku w Budzie.

Otóż także i u nas walka o utrzymanie strojów narodowych nie jest jeszcze zgoła walką przegraną. Stroje ludowe po wsiach noszone są w Polsce nawet i dzisiaj. Wszak Graham Greene pisał przed paru tygodniami, że widział stroje góralskie w Zakopanem. Z pewnością żyją polskie stroje ludowe także i w Łowickim i w wielu okolicach Polski. A nawet tam, gdzie zaginęły, trwa ich żywa tradycja — którą można by odrodzić.

I nawet strój szlachecki — kontusze, pasy, buty z kolorowego safianu — wyszedł z użycia tak niedawno, że można mówić o jego żywej tradycji. Ja na przykład, jako dziecko, nieraz widywałem dygnitarzy w kontuszach przed rokiem 1914 w Krakowie. Nie wszyscy wiedzą, że w zaborze austriackim, który dostał się pod obce rządy przed epoką „odrodzenia stanisławowskiego" i przed jego modą lubowania się w cudzoziemszczyźnie, stroje narodowe przetrwały w dość powszechnym użyciu aż po wiek XIX, a ciągłość tradycji ubierania się w nie na okazje szczególnie uroczyste przechowała się tam do pierwszej wojny światowej, to znaczy aż po wiek XX.

Można powiedzieć, że jest w życiu naszego narodu mnóstwo spraw nieskończenie ważniejszych od sprawy tradycji narodowej w ubiorze. To prawda. Polska nie przestanie być Polską, jeśli panny młode łowickie i juhasi na halach tatrzańskich będą się ubierać jak panny młode na Kensingtonie i jak „Teddy boys" na Chelsea. Trzeba walczyć przede wszystkim o uratowanie rzeczy ważniejszych.

Ale jednak byłoby dobrze, gdybyśmy także i piękno i bogactwo, utajone w narodowym stroju, zdołali dla przyszłych pokoleń uratować. Bo także i ono jest cząstką naszej tradycji, naszej kultury — naszej duszy.

My na emigracji niewiele możemy w tej dziedzinie zrobić. Ale możemy przynajmniej tę dziedzinę — rozumieć.

POLONUS

Wśród książek i czasopism

ŻYWOT PISARZA W LONDYNIE

„London Magazine" od kilku miesięcy zamieszcza na swych łamach artykuły wybitnych pisarzy angielskich, które opowiadają o swych pierwszych wrażeniach z Londynu, w szczególności zaś o jego życiu literackim w różnych okresach. Artykuły te — jak stwierdza „Times Literary Supplement" — mają dużą różnorodność ujęcia, niemniej istnieje niewątpliwie pewna jednolitość, pewien prototyp rodzajów zachowania się, jakim młody pisarz ulega, kiedy wybiera się po swojemu na „podbój" Londynu.

Między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia ma on zwykle pokój w Bloomsbury, a jada w Soho. Między trzydziestką a czterdziestką wynajmuje sobie „flat" w Chelsea, o ile możność niezbyt daleko od Tamizy. Po czterdziestce zwykł mieć duży, brzydki i wygodny dom z epoki wiktoriańskiej w Hampsteadzie, odpowiednio położony, by mógł zabierać swe psy i dzieci na spacery poprzez Heath. Ta powolna migracja na zachód ma towarzyszące jej objawy moralne. Pisarz dwudziesto czy dwudziestoparoletni czuje się dobrze w swym pokoju w Bloomsbury, wyposażonym w stary płaszcz nieprzemakalny, wytartą kurtkę sportową i parę spodni welwetowych. W kieszeniach swych lub pod pachą nosić będzie mały magazyn, który właśnie wydrukował — zresztą bez zamiaru płacenia honorarium — pierwsze jego poezje. Będzie on spotykał się z przyjaciółmi w „pubach", toczył żywe rozmowy wieczorami aż do chwili zamknięcia lokalu, później zaś wróci do swego samotnego, niekiedy brudnego i zaniedbanego pokoju.

W dziesięć lat później, w Chelsea, zajdzie w wyglądzie zewnętrznym naszego pisarza niewielka zmiana. Ubiór jego może jest nadal mało ceremonialny, ale poszczególne składniki będą kosztowniejsze. Czysta koszula, być może, zastąpi włochaty sweter sportowy. Pod pachą będzie nosił tym razem już nie mały magazyn literacki, ale jeden z tygodników i nieśmiało zwracać będzie twoją uwagę na swą ostatnią recenzję. W rozmowie mniejszą niż dawniej będzie miał skłonność do przejmowania się rzeczami wielkimi i intensywnymi, więcej zajmować się będzie sprawami tak praktycznymi, jak zaliczki wydawców. Mniej będzie skłonny proponować ci spotkanie w miejscowym „pubie", natomiast raczej zaproponuje ci, byś wpadł do niego zaraz po kolacji, przynosząc ze sobą, jeśli zechcesz, butelczynę.

Dziesięć lat potem, w Hampsteadzie, jeśli wszystko będzie szło dobrze, poprosi cię na „dinner" i będzie się czuł raczej dotknięty, jeśli przyniesiesz ze sobą butelkę. Dał już definitywnie spokój małym magazynom i niewiele ma nawet czasu na tygodniki. Sądzi, że dokoła znajduje się pewna liczba młodych ludzi, ale z najlepszą wiarą wypowiada poglądy, że nie są oni czymś całkiem na tym poziomie, co młodzi ludzie w jego czasach. Opowie ci szczegółowo — starcie z wydawcami, które spowoduje opóźnienie aż do wiosny ukazania się jego zbioru wierszowanych dramatów, albo jego wielkiej książki o literaturze wiktoriańskiej. Będzie miał w marcu w Heidelbergu wykład o metateologii Samuela Becketta — i ćwiczy swą niemczyznę. Jego wygląd zewnętrzny, wedle mierników filisterskich, jest wciąż jeszcze nieco ekscentryczny, ale nie jest to już umyślne. Dziesięć lat temu, kiedy miał żółtaczkę, wyrosła mu broda — i nigdy nie potrudził się, by ją zgolić. Proponując ci przechadzkę poprzez Heath, nakłada beret, jedyną tego jednak przyczyną jest fakt, że rzedną mu włosy i czuje zimno.

Charakterystyka niewątpliwie dowcipna i trafna, sądząc po różnych drukowanych zwierzeniach i pamiętnikach.

OŚRODEK ANGLO-NIEMIECKI

„Sunday Times" podaje bliższe szczegóły o „ośrodku studiów" anglo-niemieckich, który od pewnego czasu istnieje w Wilton Park, w głębi hrabstwa Sussex. W roku 1943 wychowanek uniwersytetu oksfordzkiego, Niemiec, dr Heinz Koeppler przedstawił Foreign Office plan założenia po wojnie ośrodka studiów, w którym Niemcy i Anglicy mogliby dyskutować sprawy polityczne. Foreign Office propozycję tę, wysuniętą w tak niezwykłym czasie i okoliczności, przyjął, ośrodek został uruchomiony w roku 1946 i jest czynny do tej pory. W roku bieżącym Koeppler i jego koledzy obchodzili dziesięciolecie istnienia ośrodka.

W roku 1946 w ośrodku dyskutowali ze strony niemieckiej głównie jeńcy wojenni; od tego czasu przeszło przez ośrodek prawie 7 tysięcy Niemców, którzy brali udział w kursach, trwających miesiąc lub dwa tygodnie.

Ośrodek jest w pewnym stopniu instytucją państwową, gdyż finansuje go skarb brytyjski. P. Koeppler — jak zaznacza współpracownik „Sunday Times'a", Atticus — z jednej strony musi próbować „sprzedawać" brytyjski punkt widzenia swym „studentom", z drugiej — musi przekonywać skarb brytyjski, by nie obcinał budżetu ośrodka, który wynosi „zaledwie połowę kosztu nowoczesnego czołgu" (ładna suma!).

Koeppler uważa, że chcąc mieć wpływ na politykę trzeba mówić o polityce i dlatego nie dopuszcza do ośrodka tematów „kulturalnych". Kiedy Atticus z „Sunday Times'a" odwiedzał ośrodek (było to w początku marca) dostał się z miejsca w gorącą dyskusję na temat uzbrojenia i reunifikacji Niemiec. W dyskusji brało udział dwudziestu Niemców, rozpoczynających właśnie czterotygodniowy kurs dyskusyjny. „Poglądy ich były naiwne i niepokojące, lecz kierownik kursu zachował całkowity spokój" — zaznacza Atticus.

LISTY DO REDAKCJI

JESZCZE NA TEMAT NOWEJ HUTY

Szanowny Panie Redaktorze!

Nawiązując do „Notatek" p. J. B. w ostatnim numerze ŻYCIA zgadzam się, że zakończenie felietonu o Nowej Hucie należy uważać za zwrot retoryczny, wyrażający oburzenie.

Czy jednak nie jest to zwrot niebezpieczny?

Przy odrobinie złej woli, czy nawet tylko błędnej dociekliwości, można go równie dobrze odczuć jako uświęcenie gniewu i nienawiści.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego poważania

L. Pierończyk
(Anglia)

TOMASZ MANN TO PDZEDE WSZYSTKIM GENIALNY PISARZ

Szanowny Panie Redaktorze!

Sądzę, że wielu czytelników ŻYCIA powitało z zadowoleniem artykuł poświęcony Tomaszowi Mannowi (nr 10/454) pióra St. Czechanowskiego. Mam nadzieję, że nie będę odosobniony, jeżeli wyrażę rozczarowanie, że tylko tyle o wielkim pisarzu przyniosło pismo poświęcone nie tylko religii, ale i kulturze. Tomasz Mann to przede wszystkim genialny pisarz i nie można go zbywać artykułem o tym, czy był „dobrym" Niemcem czy nie.

Nie mam pretensji do autora artykułu, że napisał o tym, co go interesowało. Wierzę jednak, że na tym się nie skończy i że ŻYCIE zajmie się jeszcze istotnymi walorami twórczości literackiej Manna.

Rozumiem, że autor artykułu nie pisał o puściźnie niemieckiego pisarza w szczególności. Nie mniej zdziwiony byłem, że nie wymienił ostatniego dzieła Manna: „Der Erwählte" (1951). Rzecz ta z wielu względów zasługuje na rozpatrzenie, gdyż w niej po raz pierwszy pisarz położył nacisk na potrzebę łaski i w ten sposób złagodził — moim zdaniem — konkluzje, do których łatwo dojść po lekturze „Doktora Fausta".

Z poważaniem

Florian Śmieja
(Anglia)

POTRZEBA POWAŻNEJ DYSKUSJI

Szanowny Panie Redaktorze!

Pragnę wyrazić szczególne podziękowanie redakcji ŻYCIA za artykuł Polonusa pt. „Zachód żyje w nas". Jakoś dziwnie jego treść kojarzy mi się z refleksjami Bielatowicza, zamieszczonymi w tym samym numerze Pana pisma o wrażeniach Mr. Laurie Lee z Warszawy. Powinniśmy się nieco głębiej i solidniej zastanowić nad naszym stosunkiem do istotnych i nieistotnych cech wartości cywilizacji, której zamierzamy bronić. Pod tym względem panuje u nas chaos pojęć i moim skromnym zdaniem wszelkie tzw. kryzysowe zjawiska w życiu emigracji są wynikiem tego zamętu pojęć, a nie (jak to się wydaje powierzchownym obserwatorom) intryg, ambicji personalnych itd.

Potrzebujemy poważnej dyskusji na te tematy, a także książek wyjaśniających nasz punkt widzenia. Przede wszystkim musimy nawiązać do naszej koncepcji cywilizacji i dlatego potrzebujemy najaktualniejszego dziś autora — Konecznego. Pragnę podać Panu pod rozwagę myśl opublikowania przedruku jego prac, przynajmniej jednej pt. „Polskie Logos i Ethos".

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

Wojciech Zaleski
(Hiszpania)

„PANORAMA LOSU POLSKIEGO" MELCHIORA WAŃKOWICZA

Po wydaniu pierwszego i drugiego tomu trylogii, która ma być Panoramą losu Polskiego, autor, zbierając materiały dla tomu trzeciego, zwraca się z prośbą o nadsyłanie opowiadań i informacji tyczących spraw następujących:

1. Warunki pracy w 1939-1941 w upaństwowionych na okupacji bolszewickiej przedsiębiorstwach.
2. Przebieg „wyborów" na okupacji bolszewickiej.
3. Werbunek do wojska rosyjskiego na okupacji.
4. Przeżycia Polaków w armii rosyjskiej i u Berlinga.
5. Konspiracja w kacetach.
6. Wypadki na Wołyniu w pierwszej połowie 1943 roku.
7. Wypadki na Chełmszczyźnie i we Włodzimierskim w 1944 roku.
8. Spotkania z Polakami amerykańskimi, kanadyjskimi i z „resistance" w czasie wojny.
9. Szczegóły z pobytu Polaków w Afryce.
10. Rozczarowania przy ponownym łączeniu się rodzin.
11. Pożycie małżeństw mieszanych zawartych na emigracji.
12. Spotkania z krewnymi ze starej Polonii.
13. Nasze zaznajamianie się z obcym światem i przebieg naszego wrastania w ten świat.
14. Jak rosną nasze dzieci?
15. Jak kształtują się nasze poglądy na życie w Kraju?

Autorowi chodzi o jak najbardziej osobisty materiał. Przywiązuje wagę do drobnych szczegółów i przeżyć. Nazwiska nie będą podawane w książce, a ponadto autor gwarantuje całkowitą dyskrecję i, w razie zastrzeżenia, zwrot materiałów.

Adres: M. Wańkowicz, 4 Arbor Place, Glen Cove L. I., N. Y., USA.

Nagroda literacka

KOŁA KSIĘŻY KAPELANÓW P. S. Z. w U.S.A.

Jury konkursu literackiego, rozpisanego przez Koło Księży Kapelanów P. S. Z. w Stanach Zjednoczonych, w składzie: prof. Oskar Halecki, ks. A. W. Rojek, Tadeusz Romer, Melchior Wańkowicz, Kazimierz Wierzyński, na zebraniu w Nowym Jorku, dnia 27 lutego 1956 r., po zapoznaniu się z 20 nadesłanymi utworami uznało, że prace te nie odpowiadają w pełni warunkom konkursu, i z tego powodu postanowiło za zgodą fundatorów przedłużyć konkurs do dnia 1 marca 1957 roku, na dotychczasowych warunkach.

Jednocześnie jury uchwaliło jednogłośnie przyznać poza konkursem dodatkową nagrodę w kwocie 150 dolarów utworowi pt. „Zapiski wrześniowe" nadesłanemu pod godłem „Semper Fidelis", jako posiadającemu wybitne wartości ideowe i literackie.

Po otworzeniu koperty okazało się, że nagrodzonym autorem jest Janina Węgrzyńska - Kościałkowska, zamieszkała w Laloubère (H. P.), we Francji.

Inni autorzy prac nadesłanych proszeni są o zgłoszenie się po ich zwrot, podając godło, pod adresem:

Sekretariat Koła Księży Kapelanów, 6 Wall St., Passaic, N.J., USA.

Dla przypomnienia podajemy warunki ustanowionego konkursu literackiego:

Nagroda literacka im. Kardynała Prymasa Polski Augusta Hlonda na pracę nie publikowaną związaną z kultem Matki Bożej pośród żołnierzy polskich wszystkich epok.

Pozostawia się najszerszą swobodę w ujęciu tematu, poczynając od reportażu a nawet twórczej kompilacji po powieść a nawet monografię. Każdy jednak z tych rodzajów musi mieć walory literackie i nadawać się do szerokiego czytelnictwa.

Nagrody są następujące:

za pracę nie mniejszą od 20 arkuszy (320 stron druku — około 120.000 słów) — 500 dolarów;

za prace mniejsze (nie ma dolnej granicy) prozą lub wierszem trzy nagrody: 250, 150 i 100 dolarów.

W wypadku niewpłynięcia pracy większej, lub niezakwalifikowania do nagrody suma 500 dolarów może być obrócona na zwiększenie lub pomnożenie nagród za prace mniejsze.

Praca nagrodzona pozostaje własnością autora.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 0734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 15.30 do 16. Administracja czynna codziennie od godziny 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna zgóry wynosi: miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl., rocznie 50 szyl. WPŁATY a) w krajach bloku szterlingowego: Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym bezpośrednio do administracji ŻYCIA. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam = £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: „Libreria Polaca", Serrano 2076 piso I, Buenos Aires. AUSTRALIA: „Vistula" (Aust) Pty. Ltd., 77, Pitt Street, Sydney oraz „Społem", 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S. A. BELGIA: Mme E. Kulakowska, 129, Rue du Cornet, Bruxelles 4. Prenumerata kwartalna: 90 fr. BRAZYLIA: Mme Z. Kiedlińska Casa „Acao", Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. Księgarnia Polska, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro, ks. dr Antoni Łatka, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo i Mons. W. J. Słapa, Rua Marques de Abrantes 315, Rio de Janeiro. FRANCJA: ks. K. Stolarek, OMI, 39 Av. Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, S. et M., CC 5 603 40. Pren. kwart.: 540 fr. HOLANDIA: B. Galas, Fagelstraat 15A, Breda. KANADA: Canadian Mosaic Publishers, Suite 1, 4118 Western Ave., Montreal 6. International Book Service, 57, Queen Str. W., Toronto. NIEMCY: St. Mikiciuk, Gablonzerstrasse 7/I, (13b) München 45 oraz „Informacja Prasowa", Postfach 86, (23) Quakenbrück. Prenumerata kwart. 8 RM. NORWEGIA: B. Łubiński, Kongesgat 2, Moss. STANY ZJEDNOCZONE: „Gryf Publications", 296 Sheridan Ave., Albany, N.Y., Mme J. Stojanowska, 424 Ave. „E", Bayonne, N.J. oraz „Pomoc" — Eksport - Import, 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenum. kwart. $ 2.00. SZWAJCARIA: Mgr. A. Bocheński, Case Postale 19, Fribourg 2. Pren. kwart. 5.00 frs. SZWECJA: Mgr. B. Kurowski, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 10 kr. WŁOCHY: Mme Z. Bułhak-Jelska, via Salaria 300 C. Roma. W SPRAWACH PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.